

Cena 40 gr.

LWÓW, HAUKE BOSAKA 12

15 grudnia 1938 r.

WYDAJEMY WE LWOWIE
59 NUMER PISMA

Sygnaly

dwutygodnik • sprawy spo- łeczne • literatura • sztuka.

MICHAŁ KOLCOW

LISTOPAD MADRYTU*

GDZIE SĄ REZERWY?

10 listopada

Rozmawialiśmy stojąc przy oknie mego pokoju. To było nadzwyczajne! Wprost naprzeciw nas, z drugiej strony ulicy w gmach Korteżów wałał pocisk. Wybuchł w gmachu, nas zlekka szarpnęło.

Zbiegliśmy nadół, przez ulicę, bocznymi drzwiami wpadliśmy do Korteżów. Pracownicy i woźni w panice, ale zaczynają już przytomnieć. Staruszka — posługaczka, cała w tynku, jakby z piekarni. Nie, nie rozumie, ale jest cała, ani draśnięcia. Szukamy miejsca wybuchu. Okazuje się, że pocisk przebił dach obok wielkiej sali i rozsadził pokój dziennikarzy. Cośniewoś ocalało. Stary zegar tyka, jakby się nie nie stało.

Dziś ostatni termin nadejścia obiecanych rezerw dla kontrofensywy, ale rezerw narażenie niema, gdzieś się je ciągle organizuje i reorganizuje. Ludzie walczą ostatkiem sił, naboje i pociski na wyczerpaniu. To będzie potworne, jeśli trzeba będzie oddać miasto właśnie teraz, po czterech najbardziej męczących dniach, teraz, gdy obrońcy posiadli już to, co jest najcenniejsze i najważniejsze: ducha walki, wolę oporu, odwagę w obliczu wroga! A jednak może tak się stać. Prócz telegramów od zebrań i związków zawodowych, wyrażających solidarność, Madryt nie otrzymał narażenie nic. Do podpułkownika Rojo przyszli po rozkazy dowódcy „brygady międzynarodowej“ Emil Kleber i jego zastępca Hans. Powiedzieli mu, że sformowano już drugą brygadę, w której dowódcą będzie Paweł Lukacs — Węgier, literat.

Towarzysz Marty chciał zrazu, by druga brygada była tylko formacją rezerwową pierwszej. Teraz jednak uważa, że należy ją jak najszybciej wyodrębnić jako samodzielną jednostkę operacyjną.

W ciągu tych czterech dni komisarze i sztab zapoznali się ze sobą i zdążyli się zaprzyjaźnić. Nie słychać sporów i sprzeczek, które wrzały w ministerstwie wojny przed obaleniem Madrytu. Wszyscy wysłuchują poleceń, nie krytykują rozkazów, chociaż niezawsze je wykonują. Zaniechano gry wojennych ambicji, pracowano zgodnie razem. Dużo w tem zasługi Rojo i Miaja. Miaja bardzo mało się wtrąca w szczegóły operacyjnej. Nawet nie bardzo się w nich orjentuje, pozostawiając je Rojo i dowódcom kolumn i oddziałów. Zato chętnie i długo rozmawia z poszczególnymi ludźmi, z wojskowymi, cywilami, z delegacjami i wysłannikami. W rozmowie z nimi język jego jest prosty, mocny, styl starego rebajły, zwiezły i stanowczy. To dodaje otuchy ludziom, a zarazem i samemu Miaja. Widzi on, że sprawa nie jest beznadziejna, że może się ona rozwinąć w kierunku, którego się nie spodziewali ludzie, wyznaczający go na ten posterunek. Chociażby nawet Madryt musiał paść — jednak bronił się dzielnie i nie mało w tem zasługi Miaja. Podoba mu się praca administracyjna, do której ma wyraźne zdolności.

Rojo przyciąga ludzi niezwykłą zdolnością pracy i skromnością, która pokrywa dużą wiedzę. Oto już cztery doby nie podnosi się nad mapy Madrytu. Nieprzerwanym rzędem zbliżają się doń dowódcy, komisarze, którym spokojnym, równym półgłosem, jak informator na dworcu, tłumaczy, nie raz — po dwadzieścia razy, wskazuje, pisze na papierkach, czasem rysuje.

Teraz właśnie, późną nocą, wybuchł nagle zaciepły bój w Casa del Campo. Buntownicy chcieli odbić część parku, którą stracili w dzień. Trzask rozpaczliwy, ciemno, trudno się zorientować gdzie i co, ludzie wpadają na siebie, rozpytują i znów się rozbiegają. Pociski zapaliły parę drzew,

co jeszcze silniej zaciemniło wszystko dookoła. Odłamek pocisku uderzył w dolinkę, w której ukrywaliśmy się. Nikogo nie raniło, ale ktoś z rozpędu wałał mnie obcasem w skroń, tak że pociemniało mi w oczach. I wnet inny djabeł wyrznął podkuty butem w pierś. Potem długo jeszcze strzelano nad głową, krzyczano w niebogłosy i biegano wkółko. Leżałem nieruchomo pod urwiskiem z ogromnym guzem, nie chcąc się ruszać, śmiertelnie zły i obrażony na wszystkich — faszystów i republikanów. No, dobrze — wojna — ale przecież tak odrazu w skroń kopać człowieka — to przecież do niczego niepodobne.

PIĄTY DZIEŃ WALKI

11 listopada

Wieczorem telegrafowałem do Barcelony:

„W nocnych i dzisiejszych rannych walkach republikanie wzięli dużo jeńców. Dziś zrana samoloty republikańskie zaatakowały faszystowskie lotnisko w Avila i zniszczyły dwanaście nieprzyjacielskich maszyn.

Wczorajszy kontratak przeciwko faszystom w Casa del Campo zmusił ich do cofnięcia się. Zobaczyliśmy, że marokańscy nie gorzej od innych potrafią zwiewać, jeśli się ich dobrze przygrzeje ogniem karabinów maszynowych i armat, naciśnięciem i nagłym atakiem na bagnety. Chętnie też poddają się i potem długo przy badaniu dyskutują, posługując się cytatami z koranu. Nie uchylają się także od przyznawania się do swoich błędów i obiecują, że na przyszłość nie będą walczyli, choćby się ich nawet siłą zmobilizowało.

Napotkawszy mocny opór, nieprzyjaciel cokolwiek się zgrupował i wznowił główny atak od strony przedmieścia Carabanchel. Tu wre od wczoraj najzaciętsza walka uliczna. Pojedyncze domy zdobywa się atakami na bagnety i granaty.

Od drugiej południu faszysti rozpoczęli silny ogień artyleryjski na most toledzki. W tym czasie byłem na odcinku Carabanchel Bajo, przylegającym do mostu — był on podczas ataku odcięty od mostu. Z wielkim trudem obrońcy trzymają się na barykadach pod huraganowym ogniem artylerji. A jednak dotychczas, do szóstej wieczór, most i kilka ulic przed nim są w rękach republikanów. Od pocisku zapalającego płonie ogromny gmach „Capitana General“, niegdyś siedziba dowództwa madryckiego okręgu wojennego.

Walka wre, a obok, na maleńkim placu odbywa się lotny wiec. Agitatorzy — często kobiety — zachęcają walczących.

Obłożony Madryt oplakuje śmierć Antonio Cola, zwanego „marynarzem z Kronstadt“. Ujrawszy ten znany film, Antonio Col, marynarz hiszpańskiej floty republikańskiej, który przeszedł do armji lądowej, postanowił poświęcić się walce z czolgowi faszystów. Cel ten osiągnął. Wysadził pięć włoskich czołgów. Antonio Col podpelał do nich z tuzinem granatów, uwiązanych na pasie. Został przypadkiem ranny, lecz do ostatniej chwili wierzył, że wyzdrowieje i wróci do swej wspaniałej pracy.

Ciężki bombowiec „Junkers“, który wczoraj przyleciał do republikanów, dziś otrzymał kolejny numer lotnictwa rządowego i wyleciał z nową załogą na bombardowanie wojsk faszystowskich. Bomb mu nie dano, miał ich pełny komplet. Teraz panowie z Legji Cudzoziemskiej poczuli na własnej skórze miły dotyk niemieckich bomb.

(Nie wspominałem w telegramie, że z bombami temi było dużo kłopotów. Ktoś wpadł na pomysł odłączenia ich, gdy samolot był na ziemi, zaplątał się w skomplikowanej sieci przewodów elektrycznych i o-mal wszystkiego nie zepsuł. Pilot nie wie-

dział, jak się je odczepia. Lotnicy długo się naradzali i nagle doszli do najprostszego rozwiązania: wzniesić się nad wrogiem i u-wolnić się od bomb naciśnięciem guzików).

„Wieczorem zauważono skupienia nieprzyjaciela w rejonie Villaverde. Widocznie faszysti chcą wymierzyć trzeci cios, okrążając Madryt z południowego wschodu, by przeciąć jedyną wolną drogę na Walencję i zgrubsza biorąc, całkowicie otoczyć miasto. Oddziały republikanów, milicja ludowa i robotnicy Madrytu walczą zaiste po bohater-sku i uderzają w przeciwnika coraz silniejszemi przeciwatakami. Najbliższe dwa — trzy dni mogą zadecydować o losach Madrytu i być może całej wojny domowej“.

Te ostatnie słowa dotyczyły rezerw, które jednak dotychczas nie biorą udziału w walce, nie mają należytej łączności z Madrytem i daj Boże, by jutro mogły się nareszcie skoncentrować. Porzucone na łaskę losu przez ministra wojny, poroździelane kolumny madryckie, potrafiły dzięki poświęceniu kilku dowódców oraz męstwu i energii robotników Madrytu wstrzymać pierwszy napór wroga, zahamować atak na stolicę, zaprowadzić porządek we własnych szeregach, bronić miasta prawie bez bronii przez pięć dni. To naprawdę cud — jak długo jednak może on przetrwać bez pomocy z zewnątrz?

Napór wroga rośnie. Jutro będzie jeszcze potężniejszy. Kładąc się spać nie znajduję w sobie żadnej innej myśli.

MIŁA NIESPODZIANKA DLA FASZYSTÓW

12 listopada

Mglisty i dżdżysty dzień. To dobrze — to utrudnia pracę lotnictwa.

Miażdżący, zaciepły atak faszystów na wszystkie prawie mosty na Manzanares. Buntownicy ostrzeliwiają gęsto wszystkie przybrzeżne bulwary. Prawdziwe wichury ogniste. Chwilami człowiek czuje się nieswojo. Milicjanci bronią się jednak, bronią się i dziś. To przecież często ci sami ludzie, którzy spod Talavery, spod Toleda uciekali przed jednym strzałem z kulomiotu. Kolo mostu segowijskiego kompanja pod dowództwem sierżanta Velasqueza ruszyła do kontrataku. To walczący asturyjscy dynamitarzi. Śpiewając „Międzynarodówkę“, pod deszczem kaemów, rzucili się naprzód, na drogę estramadurską i odbili nieprzyjacielowi prawie półtora kilometra.

Przy moście Księżniczki poszły do ataku faszystowskie czołgi „Ansaldo“. Są one mniejsze i słabsze od republikańskich, ale w mieście zachowują się dosyć ruchliwie. Chłopcy z młodzieży socjalistycznej zasypali je granatami.

Nie wiem, czy generał Varela przestrzega jeszcze swego rozkazu na „dzień D“. Dowództwo faszystowskie zmienia teraz i kombinuje kierunki uderzeń na Madryt. Niepowodzenia ataków piechoty i czołgów stara się powetować nieprzerwanym, potężnym ogniem artylerji. Grzmot wybuchów prawie nie cichnie. Szyby w oknach drżą nieprzerwanie. Straż ogniowa ledwo może nadążyć w gaszeniu pożarów.

Mam na stole trzy radiogramy, nadane do madryckiego telegrafu, który je nadesłał do komisarjatu:

„Madryt. Do generała Franco. W czci i zachwycie chyliny głowy przed zwycięzcą, który ze swoim błogosławionem wojskiem wkroczył do stolicy Hiszpanji. Ślęmy swe modlitwy rycerzom świętego kościoła, o swobodzie ojczyzny. Alcałd miasta Burgos — Alella. Odpowiedź opłacona. 15 słów“.

Drugi: „Madryt. Generalowi Franco. Ave Caesar imperator. Antonio Arenvero“.

Trzeci: „Madryt. Generalowi Varela. Winszuję zwycięskiego wkroczenia do Madrytu. Historia patrzy na Pana. Bolivar“.

Bohaterki opór Madrytu jest niespodzianką nie tylko dla faszystów. Wczoraj i dziś zjawilo się parę twarzy, które zniknęły bez śladu piątego i szóstego listopada. Powracający zaglądają z niedbałą miną do swoich byłych gabinetów i kancelaryj. Widzą przy swoich biurkach pracowników Junty Obrony i czempredziej przybierają nieważną, turystyczną, przejazdową postawę. Popołudniu, gdy miasto zaczęło zanadto hu-czeć, turyści z Walencji niepostrzeżenie się ulotnili.

Junta Obrony uchwaliła nowy regulamin wydawania przepustek na wyjazd i wjazd do Madrytu. W ten sposób zapobiega się bezładnej ucieczce i niepotrzebnym powrotom osób, które opuściły Madryt.

Junta pracuje bardzo energicznie. Reguluje porządek w mieście, drobny handel, kwestje zaopatrzenia i t. d., organizuje ewakuację. Poczynając od 7 listopada aresztowanych faszystów stopniowo wywieziono z Madrytu.

Pod wieczór nareszcie skrytalizowały się widoki jutrzejszego przeciwuderzenia. Sztab to nazywa kontrofensywą, ale mnie się wydaje, że to nie więcej, niż kontratak. Wielkie plany śmiałego manewru sześciu brygad z rejonu Arganda na Pinto-Pavla i pomocniczego ciosu czterech brygad na Leganes i Illescas bardzo się skurczyły. Miaja i Rojo zażądali części brygad do pomocy na odcinku obrony w mieście: „Nie czas załować róż, gdy płoną lasy“. Pozostała bardzo skromna grupa uderzeniowa: cztery brygady, dwanaście armat i tuzin czołgów. Ma ona jutro uderzyć na faszystów styłu, w kierunku góry Aniołów i Getafe. Madryt skolei ma uderzyć całym prawem skrzydłem i centrum obrony.

Oczywiście, to wcale nie Madryt, ale...

KONTRATAK

12 listopada

Dzień rozczarowań i nieprzyjemności. Z przeciwnatarcia, zdaje się, nic nie wyjdzie. Główna grupa uderzeniowa rozpoczęła walkę bardzo późno. Przygotowanie artyleryjskie brzmiało poprostu załóżnie. Nowi, niewyćwiczeni żołnierze niechętnie poszli naprzód, a zbliżywszy się do góry Aniołów przestraszyli się ognia i skryli się w fałdach terenu. Narażenie jeszcze tam leża. Oddziały z Madrytu także zrazu rzuciły się do ataku, ale daleko nie zaszły. Trudno faszystom posuwać się w głąb Madrytu, ale niemniej trudno wykurzyć ich z tych miejsc, gdzie się już umocnili. Odrzucili ich jednym zamachem daleko od rzeki dziś jeszcze nie można. Brygada międzynarodowa dzielnie rzuciła się wzdłuż ściany parku Casa del Campo, umiejętnie przebiegając grupami i pojedynczo, wyszukując wzgóreczki i głązy, wysuwając naprzód sekcje karabinów maszynowych; dwa bataljony posunęły się więcej, niż o kilometr. Można było iść dalej, ale skrzydła, kolumna Galerna i kolumna anarchistów, zostały styłu i nie próbowały ich dopędzić. Tanki, przydzielone tej grupie, kilka razy się odrywały, szły naprzód i wracały spowrotem do piechoty, ciągnąc ją za sobą. Tankiści namawiali żołnierzy, by nie tracąc czasu rzucili się naprzód i zajęli dużą przestrzeń, bronią bardzo słabym ogniem, ale namowy te nie przekonały ich. „Gwiżdżemy“, wyraził się jak zwykle kapitan czołgów. Zawsze to u niego wypada bardzo w porę. Rozgniewane dwa plutony czołgów jeszcze raz pobiegły naprzód, wdarły się w zasięki drutów, połamały gniazda kaemów, zniszczyły jakiś sprzęt artyleryjski i kilka faszystowskich samochodów. Trochę sobie ulżyły, bo tak to sterzały cały tydzień przy mostach, jak „strachy na wróble“, według określenia tegoż kapitana. Niepowodzenie to jest bardzo przykre, ale nie tak znów ważne, jakby się mogło zdawać przedtem. Widocznie nie nadszedł jeszcze czas rozgromienia Franco pod Madrytem. Z nadejściem jednak uzupełnień, obrona, choćby narażenie bierna, ale twarda, staje się coraz pewniejsza.

Jak przedtem, o drugiej południu nad miastem ukazały się „Junkersy“ w otoczeniu swoich niszczycieli. Miaja zaczer-

*) Por. nr. 57 i 58 „Sygnalów“.

ZYG MUNT JAROSZ

MATERJALIZM ŻYJE JESZCZE

„...materiaлизм jest bardziej żywoty, niż był kiedykolwiek“.

Bertrand Russell: „Poglądy i widoki nauki współczesnej“, str. 140.

I

Jak widać z powyższego motta materiaлизм nietylko żyje jeszcze, ale nawet dobrze mu się powodzi. Przyjemniej też byłoby napisać inny zgola tytuł artykułu. Np.: „Materiaлизм tryumfujący“, albo „Zwycięstwo materiaлизма“. Przyjemniej — ale może mniej pożytecznie. Poczóż bowiem straszyc pewną kategorię czytelników — skrawo tendencyjnym nagłówkiem, skoro bardziej ostrożnie, nieśmiało i anemicznie przed ich zachęci do przeczytania tego, co się pod nim znajduje?

Ileż to razy grzebano ów przeklęty materiaлизм! Ileż pierwszorzędnych głów bieżąco się nad udowodnieniem jego niemożliwości. Od dni narodzin naszej kultury, od epoki Demokryta i Platona, trwa nieustanna walka dwu kierunków myśli, których ojcami byli ci greccy myśliciele. Walka materiaлизма z idealizmem. Prawda: czyniono poważne próby znalezienia „trzeciego wyjścia z sytuacji“. Prawda: stało się dziś modne negowanie problemu, zaliczanie go do „szkolnej filozofii“, zapewnianie, że został on przezwytyczony na pewnej nowej płaszczyźnie. Ale jakże daleko odbiega w tym względzie głos filozoficznych fachowców od powszechnej opinii!

Dowodem choćby niedawna polemika, jaka miała miejsce na łamach „Sygnałów“ pomiędzy J. Lubojańskim a J. Ciągłińskim. Ten pierwszy stwierdził przedewszystkiem, że pogębionym pod koniec XIX w. teologiem przyszły obecnie w sukurs nauki przyrodnicze, a następnie zauważył dość rewelacyjnie, że materiaлизм filozoficzny i materiaлизм historyczny, t. j. dwie części składowe marksizmu, nie wiążą się z sobą tak ściśle, „jak się napozór wydaje“. Nadto wykwintnie poklepał Engelsa po ramieniu za „pocziwego“ „Anti-Dühringa“, oznajmił, że „jakotako czytany inteligent katolicki sypie jak z rękawa cytatały z Eddingtona, Jeansa, Plancka i innych powag“ oraz że „losy socjalizmu napewno nie będą zależały od elektronów“. Po tem wszystkim oświadczył, że uważa się za marksistę.

Dr. Apolinary Żukowski pokwitował Lubojańskiemu w „Wierze i Życiu“ (nr. 11, 1938) jego „dobrą wolę“. Dodał jeszcze, że „przyszłe badania wykażą, jak bardzo owe zdobycze (nauk przyrodniczych) podniosły falę odrodzenia religijnego, ogarniającego dziś świat“. I podkreślił z absolutną pewnością siebie oraz takimże brakiem konkretnych dowodów, że badania wielkich uczonych współczesnych godzą w materiaлизм.

Wystąpienia obu wymienionych publicystów stały się bezpośrednią pobudką napisania niniejszego artykułu. Temat więc jego brzmi właściwie: materiaлизм (dialektyczny), teologia (katolicka) a współczesna wiedza przyrodnicza. Innymi słowy, chodzić nam będzie o przedstawienie stosunku dwu największych, najpoważniejszych i najciekawszych doktryn dzisiejszego świata, marksistowskiej i katolickiej, do ostatnich zdobyczy nauk ścisłych. Przedstawienie to będzie miało z konieczności charakter raczej fragmentaryczny, przykładowy. Ale niemniej powinno dać pojęcie o całości zagadnienia.

Materiaлизм dialektyczny jest najdalej i najdoskonalszą formą rozwojową materiaлизма filozoficznego. Tak twierdzą jego zwolennicy, tak sądzą chyba jego przeciwnicy, którzy o nim przecież myślą, kierując swe strzały przeciw materiaлизмowi wogóle. Niema też nikogo odpowiedzialnego, kto broniliby np. materiaлизмowi encyklopedystów przeciw marksistowskiemu. Adekwatnie zaś można potraktować teologię katolicką. Jest ona niewątpliwie najbogatsza i najsubtelniejsza ze wszystkich teologii. I jeśli nie góruje zbyt bezapelacyjnie nad teologiami innych wyznań chrześcijańskich, to przewyższa znakomicie teologię innych religij powszechnych i niepowszechnych.

Zajrzyjmy do św. Tomasza.¹⁾ Zaraz na str. 9 drugiego polskiego wydania „Sumy teologicznej“ czytamy:

„Zasady podstawowe innych nauk albo są oczywiste, i nie można ich udowadniać,

albo udowadnia się je przez pewną przyczynę naturalną, w jakiejś innej nauce. Lecz właściwym poznamy w tej nauce (teologii) jest to, co pochodzi z objawienia, a nie z rozumu przyrodzonego. Zatem nie należy do niej udowadnianie podstawowych zasad nauk, lecz tylko sąd o nich. Cokolwiek bowiem znajduje się niezgodnego z prawdą tej nauki w innych naukach, odrzuca się to wszystko jako fałszywe“.

Oto przesławne negatywne ramy dla wszelkiej nauki. Krępują one, rzecz jasna, nietylko swobodne wnioskowanie naukowe, ale i samo powstawanie koncepcyj heurystycznych. Są najprawdziwszymi okowami Prometeusza. Jakże to wołał Kant?

„...jest to wielką niedorzecznością oczekiwać oświecenia od rozumu, a przepisywać mu zgóry, po której stronie ono koniecznie paść powinno“ („Kritik der reinen Vernunft“, 2 wyd., str. 571; przekład polski Chmielowskiego, str. 602).

To twierdzenie Kanta stało się monetą obiegową, weszło w krew każdego uczonego. W zgodzie z niem — a wbrew negatywnemu ostrzeżeniu św. Tomasza — postępują wszyscy ludzie wiedzy, przyrodnicy bardziej jeszcze może, niż humaniści. Weźmy choćby wymienionego przez obu cytowanych wyżej publicystów polskich sir J. H. Jeansa. W „Nowym świecie fizyki“ pisze on o promieniach kosmicznych:

„Wysunięto przypuszczenie, iż owe promienie, padając na plazmę zarodkową, mogłyby wywołać owe spazmatyczne zmiany biologiczne, których wymaga nowoczesna teoria rozwoju; kto wie, czy to nie promienie kosmiczne zamieniły swego czasu małpy w ludzi“.

Ponieważ pochodzenie człowieka od zwierząt niższych ustrojowo jest sprzeczne z artykułami wiary, musi być odrzucone przez każdego katolika. Zatem hipoteza robocza Jeansa o roli promieni kosmicznych w procesie ucwłoczenia małpy nie mogłaby wogóle powstać w umyśle, któryby się nie wywołał z teologicznych pęt św. Tomasza.²⁾

Zajrzyjmy jednak znowu do „Sumy“. Początek drugiego rozdziału tomu I części I stwierdza, że „głównym zadaniem teologii jest dać poznać Boga, nietylko czem jest Sam w Sobie, lecz także pod tym względem, że jest początkiem i celem rzeczy, zwłaszcza istoty rozumnej...“ I § 3 tegoż rozdziału przynosi słynne pięć dowodów istnienia Boga.

Pierwszy z nich, najważniejszy i najpowszechniej znany, jest dowodem z ruchu. Powiada św. Tomasz: „Niemożliwe jest... by pod tym samym względem i w ten sam sposób coś było wprawiającym w ruch i poruszaniem czyli żeby się samo poruszało. Zatem cokolwiek jest w ruchu, musi być poruszane przez coś innego... tak jak laska rusza się tylko przez to, że jest poruszana przez rękę. Zatem musi się dojść do czegoś pierwszego poruszającego, które przez nikogo nie jest poruszane; a wszyscy rozumieją, że to jest Bóg“.

Oto najkrócej wyłożona teoria „pierwszego bodźca“. Wedle niej ruch został tchnięty w materję jak dusza w Adama. Jest on w stosunku do świata rzeczy czemś genetycznie zewnętrznym, absolutnie od wszelkiego konkratu odrębnym, pierwotnie samoistnym. Czy takie pojęcie ruchu daje się utrzymać wobec dzisiejszych osiągnięć wiedzy?

Nauka współczesna operuje terminem „energia“ zamiast ruchu. Różnica to jednak czysto formalna. Chodzi jedynie o przyznanie odpowiednio szerokiej treści pojęciu „ruch“. U św. Tomasza pojęcie to obejmowało m. in. energję cieplną. („Z możliwości... nie może coś być sprowadzone do czynu, jak tylko przez jakiś byt w czynie; tak jak ciepło w czynie, np. ogień sprawia, że drewno, które jest ciepłe w możności, staje się ciepłe w czynie i przez to porusza je i zmienia“). „S. t.“ t. I, cz. I, str. 21; podkreślenie moje, Z. J.) Engels mówił poprostu: „energia t. zn. ruch“ (K. Marx — F. Engels: „Etudes philosophiques“, str. 76, Editions Sociales Internationales, Paris).³⁾

Otóż jedną z najważniejszych zdobyczy fizyki współczesnej, ściślej teorii względności, jest stwierdzenie tożsamości materji i energii.⁴⁾ Nigdy nie będą to już „dwa na słońcach swych przeciwne bogi“, skoro stanowią raczej dwie strony tego samego medalu. I materja i energia (t. zn. ruch) znalazły wspólny mianownik, który ma na imię: masa. Energię można otąd mierzyć nietylko w kaloriach lub ergach, ale i w gramach. W jaki sposób stwarzają się gwiazdy? Tracą energję przez promieniowanie, tracą odpowiednio masę, stają się lżejsze. Nic to, że aby stać się o jeden gram lżejsze musi ciało utracić olbrzymią porcję energii: 9.10²⁰ ergów. Aspekt filozoficzny tego wielkiego odkrycia Einsteina sprzed lat trzydziestu nic na takiej „dysproporcji“ nie traci.

Od ruchu należą otąd nietylko przemiany materji — jak u św. Tomasza lub Newtona — ale sam jej byt. Niemasz bowiem materji bez masy. Masa zaś cała zmienia się w ruchu. Zależy od jego szybkości w myśl einsteinowskiej formuły:

$$m = \frac{m_0}{\sqrt{1 - \frac{v^2}{c^2}}}$$

gdzie „m“ oznacza masę ciała w spoczynku, „v“ — jego szybkość, a „c“ szybkość światła. I znowu nic to, że dla szybkości „v“ niewielkich „v/c“ będzie bardzo małe, „v²/c²“ jeszcze mniejsze, pod pier-

wiastkiem znajdzie się liczba równa niemal jedności, a więc cały mianownik będzie bliski jedności, i masa wypadnie taka sama, jak w spoczynku, czyli będzie praktycznie niezmienna. Aspekt filozoficzny pozostaje nietknięty. A przy szybkościach porównywalnych z szybkością światła otrzymalibyśmy także doniosłe rezultaty praktyczne!

Zagadnienie można rozpatrzyć i z innej jeszcze strony. Eksperymentalnie, laboratoryjnie stwierdzono wszakże jedność materji i promieniowania. Małżonkowie Joliot materiałizują energję promieniowania i dematerializują cząstki materji w promieniowanie. Foton, cząsteczka światła, daje żywot dwóm cząstkom materiałnym: elektronowi i positonowi. Oraz odwrotnie: elektrony dematerializują się w fotony. Rezultaty to zawrotne, olśniewające. Wydaje się, że idziemy ku sformułowaniu jednego z najgłębszych praw natury. A już dziś wiemy o takich głębokich metamorfozach w przyrodzie, o jakich nie śniło się filozofom ubiegłych stuleci.

Masa jest duszą materji. Ale tę samą duszę posiada również energia. Są to dwie postaci jednej wielkiej sprawy. Energia nie przybyła skądś („z czwartego wymiaru“?) do pocziwego świata trójwymiarowych ciał Euklidesa. Nie została dobrotliwie wysłana, aby ożywić materję. Nie, ona sama jest materją. A materja jest energją.⁵⁾

Engels pisze w „Anti-Dühring“: „Ruch jest formą istnienia materji. Nigdzie i nigdy nie istniała i istnieć nie może materja bez ruchu, jakoteż ruch bez materji...“ „Nie bardziej zgodnego z obowiązującymi twierdzeniami nauki. Ale nauka ta postąpiła naprzód nietylko od czasu św. Tomasza, ale także i Engelsa. Dlatego teza autora „Anti-Dühringa“ wymaga pewnego uzupełnienia. Mówimy: ruch (czyli energia) jest formą bytową materji. Ale możemy również powiedzieć odwrotnie: materja jest formą bytową ruchu. Engels nie miał danych dla tego oszałamiającego odwrócenia swej tezy. Nie wiedział, że aż tak daleko sięga dialektyka przyrody. Materiaлизм dialektyczny bogaci się i rozbudowuje w miarę postępów nauki. Tylko wtedy postawiamy wierni metodzie Marxa i Engelsa, gdy ich konieczne niedostatki potrafimy uzupełnić nowymi zdobyczami.“

Nie, badania uczonych nie godzą w materiaлизм, jak to się wydaje dr. Apolinary Żukowskiemu. W materiaлизмowi usiłują godzić jedynie teorie niektórych idealistycznie nastawionych potentatów wiedzy — teorie, będące filozoficznymi komentarzami do badań przyrodniczych. Proszę posłuchać jaki ekscentryczny wniosek wysnuwa Jeans z omówionej powyżej jednorodności materji i promieniowania:

„Streszczając... możemy powiedzieć, iż tendencja fizyki współczesnej jest rozwiązać zagadkę materiałnego wszechświata, sprowadzając go do fal i tylko fal. Fale te są dwójakiego rodzaju — jedne zakorkowane, zwane materją, i fale otwarte, zwane promieniowaniem lub światłem. Jeżeli unicestwienie materji zachodzi rzeczywiście, proces ten jest poprostu otwieraniem uwięzionej energii fal i wyzwalaniem jej do biegu w przestworza. Te pojęcia redukują cały wszechświat do świata światła w formie potencjalnej lub czynnej, tak iż całkowita historia jego stworzenia może być opowiedziana z całą dokładnością w sześciu słowach: „Bóg rzekł, niech stanie się światło“.

W tym urywku jest cały Jeans. Jego sposób pisanie i myślenie, jego efekciarstwo. Dla stylistycznej pimoty gotów on rzucić twierdzenie, które może nosić pewne pozory naukowości. Jak w każdej bajce jednak, tak i w zacytowanym fragmencie jest prawdziwe jądro. Istotnie: można oraz należy podzielić wszechświat na dwa elementy: materję i promieniowanie. Wówczas równanie: ruch = energia, zostanie przedłożone i otrzyma postać: ruch = energia = promieniowanie. Ale na jakiej podstawie Jeans chce sprowadzić wszechświat „do fal i tylko fal“? Dualizm materji i energii (czyli promieniowania) jest rzeczywiście względny. Ale monizm świata polega na tożsamości (jednorodności) tych dwu elementów, nie zaś na fałowym ich charakterze. Jeans chce sprowadzić świat do fal, potem do promieniowania, potem do światła. Taki bowiem „monizm“ jest mu potrzebny dla „świętej zgody“ z biblją. Ale wydaje się, że po drodze zapomniał angielski pomocnik teologów o drobiazgu: o teorii kwantów. Nauka XIX wieku znała w istocie jedno tylko oblicze promieniowania: falowe. Ale właśnie w roku 1900 Planck zreferował Niemieckiemu Towarzystwu Fizycznemu w Berlinie swe odkrycie drugiego oblicza: kwantowego czyli korpuskularnego. Otąd wiemy, że promieniowanie objawia się nam bądź w postaci falowej, bądź w cząsteczkowej. Później de Broglie rzucił genialną myśl, potwierdzoną następnie przez doświadczenia, że to samo prawo stosuje się do materji. Ona także ma dwa oblicza. Nietylko korpuskularne, jak sądzono w XIX stuleciu, ale i falowe, jak wiemy dzisiaj. Jeans najwyraźniej zapomniał w swem rozumowaniu falowy charakter materji, ale zapomniał o korpuskularnym charakterze światła. Prawda: zagadka stosunku fali do cząsteczki (czy odwrotnie) nie została rozwiązana. Czekamy na wielką syntezę. Mam nadzieję, że dane przypuszczają, że poza względny dualizmem fal i korpuskułów,

ciągłego i nieciągłego, kryje się jakiś najgłębszy monizm wszelkich zjawisk. Naturalnie, oczekiwana synteza nie może się okazać... jednym tylko ze swych elementów. A taka właśnie contradictio in adiecto przejawia się w sprowadzaniu świata „do fal i tylko fal“.

Tak ma się rzecz z pierwszym członem rozumowania Jeansa. Drugi, sprowadzający promieniowanie do światła tylko, przedstawia się podobnie. Nie jest to bowiem kwestja terminologiczna bynajmniej (inaczej, niż w naszym równaniu: ruch = energia = promieniowanie, które miało charakter właśnie terminologiczny). Przez światło rozumiemy wszakże promienie dostrzegalne dla oka („widmo widzialne“). Ale gdybyśmy światłem nazwali nawet podczerwień, ultrafiolet czy promienie Röntgena — to czyż nazwiemy tak fale Hertza, łączące radiostację nadawczą z odbiornikiem? A jednak, promienie świetlne rzeczywiście mają tę samą naturę, co fale radiowe. Jedne i drugie są zjawiskami elektromagnetycznymi. Na tem polega ich jednorodność. Światło nie jest więc wspólnym mianownikiem dla różnych odmian promieniowania, lecz samo znajduje się pomiędzy nimi t. j. w metaforycznym liczniku.⁶⁾

Spośród wszystkich nauk przyrodniczych fizyka przeżywa dziś kryzys najostrzejszy. Większość podstawowych jej pojęć ulega rewolucyjnym przeobrażeniom. Rzeczywistość ukazuje się uczonym w coraz nowszym świetle. Odkrycia mnożą się z zawrotną, niespotykaną w dziejach szybkością. Niektóre z nich wyglądają na coś wręcz cudownego wobec osiągnięć fizyki klasycznej. Jakże dowcipnie zostało odtworzone to zjawisko w krzywym zwierciadle „starego kpiarza“ (!) i wszystkie te fakty rodzą poważne niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo dezorientacji. Fizyka gubi stare drogowskazy, a wielu uczonych — głowy. Czyż nie jest właśnie objawem paniki wprowadzanie pierwiastka religijności do nauki ścisłej, jaką jest fizyka? „Jak trwoga, to do Boga“ — określili kiedyś ten stan rzeczy prof. Rajchman.⁸⁾

PRZYPISY

¹⁾ Nie wszystko, co rzekł Doktor Anielski obowiązuje dziś katolików. Postępy wiedzy, datujące się od „antropocentrycznej“ epoki Renesansu, zrobiły swoje. Byłoby rzeczą bardzo pouczającą zbadać chociażby ilościową proporcję między aktualnymi dla doktryny katolickiej i zdezakualizowanymi wywodami św. Tomasza. Jasne, że nietylko jego twierdzenia astronomiczne czy np. rozważania o godziwości obrótu alchemicznym złotem, ale i cały sposób traktowania choćby takiej kwestji żydowskiej — nie mogą być przez nikogo w kościele uważane za miarodajne (natomiast cytaty ze św. Tomasza o Żydach drukuje wielkimi czcionkami „Der Stürmer“).

Faktem pozostaje, że olbrzymia puściźna po autorze „Sumy“ stanowi najlepszy bodaj klucz do zrozumienia średniowiecza. Jest to systemat zdumiewający nietylko swą uniwersalnością, ale przedewszystkiem swą koronkową precyzją i żelazną konsekwencją. Aż prosi się o porównanie z monumentalnymi budowlami XIII wieku, z Notre Dame, z katedrą w Reims czy w Amiens! W artykule niniejszym poruszone zostały jednak te tylko opinie św. Tomasza, które i dziś bezspornie stanowią urzędową doktrynę kościoła.

²⁾ Rzecz inna, że hipoteza ta robi wrażenie naiwne pochopnej, a przytem skrajnie mechanistycznej. Ale właśnie na tego rodzaju pochopności opiera się cała pomoc, jaką Jeans przynosi teologom. Uczony angielski nie wie nawet zapewne, że przemianę małpy w człowieka kilkadziesiąt już lat temu tłumaczył pocziwy Fryderyk Engels. Nie czekał on ze swą pracą badawczą na odkrycie promieni kosmicznych. W niedokończonym swym artykule p. t. „Rola pracy w procesie ucwłoczenia małpy“ otworzył dość szczegółowo przebieg tej metamorfozy, która miała zmienić oblicze ziemi. Wstępny fragment engelsowskiego wykładu wygląda w streszczeniu, jak następuje: Pierwszym krokiem do przemiany małp w ludzi było zaprzestanie posiłkowania się przez nie rękami przy posuwaniu się po powierzchni ziemi. „Aby prosty chód mógł stać się u naszych włochatych przodków najpierw prawidłem, a potem koniecznością, trzeba było, aby ręce już wcześniej specjalizowały się w innych funkcjach“. I rzeczywiście odbywała się taka specjalizacja. Ale „nato, aby pierwszy odłamek skalny przy pomocy ludzkich rąk mógł się przemienić w nóż, musiał minąć tak długi okres czasu, że w porównaniu z nim znany nam okres historyczny okazuje się nader nieznacznym“. Następnie wyjaśnia Engels powstanie mowy i t. d. Konkluduje, że „praca stworzyła samego człowieka“.

Samo pochodzenie rodzaju ludzkiego od zwierząt niższych ustrojowo (dokładniej: wspólny pień genealogiczny człowieka i małp człekokształtnych) nie może być dziś poważnie podawane w wątpliwość. Współczesna systematyka zoologiczna rozbudowała obszernie odpowiednią terminologję. Człowiek należy wedle niej do rządu (ordo) naczelnych (Primatea), rodziny człowiekowatych (Hominoidea), rodzaju Homo, gatunku recens (współczesny). Musiał ocenić wspaniałe zdobycze nauki w tym zakresie

wienił się ze złości, wałną swoją masywną pięścią w stół:

— Kiedyż oni jedzą śniadanie? I sami nie zjedzą i innym nie dadzą. Proszę nie wstawać od stołu.

Mimo to sam nie wytrzymał pokusy i pobiegł z serwetką na szyi na balkon, gdy powiedziano, że bój toczy się nad samym budynkiem ministerstwa wojny.

„Junkersy“ już uciekli. „Chatos“ atakowały „Heinklow“. Stronemi wirami kołowały one, mrugając wielobarwnymi jak u motyli skrzydłami. Zachwycało to publiczność, chciwie patrzącą z ziemi.

Potem walczące samoloty odleciały w bok, za róg domu i nic już nie było widać. Wszyscy zasiędlili do śniadania. Jeszcze po pięciu minutach zatelefonowano, że kilka samolotów zestrzelono, jeden pilot zeszkoczył na spadochronie, wzięto go do niewoli.

Michał Kolcow

sir J. H. Jeans. Czytelnik polski może się z nimi zapoznać, czytając najnowsza, piękną książkę znakomitego anatoma prof. Edwarda Lotha „Człowiek przeszłości“, Lwów, Książnica-Atlas, 1938).

Sprawa pochodzenia człowieka ma swój specyficzny aspekt, lokujący ją akurat na pograniczu materializmu filozoficznego i historycznego. Jest to jedna z klamer, spinających dwie części marksizmu. Ciekawe, jak Lubojański będzie usiłował ją rozzerwać.

3) „Jeżeli wiemy, w jaką sumę ruchu mechanicznego zamienia się określona masa ruchu cieplnego, to nie wiemy jeszcze niczego o naturze ciepła, jakkolwiek niezbędne byłoby zrozumienie takiej zamiany dla zbadania natury ciepła. Traktowanie go (t. j. ciepła — przypisek mój, Z. J.) jako formy ruchu — oto ostatni triumf fizyki, dzięki któremu zdjęto z ciepła kategorię siły“. Słowa te pisał Engels przed około sześćdziesięciu laty (por. „Dialektika przyrody“, wyd. 6, str. 11). Wydaje się tedy, że św. Tomasz miał niejakie przeczucie owego „ostatniego triumfu fizyki“ (Ogień wywalała u niego ciepło „utajone“ w drewnie. A „ruch nie jest niczem innym, jak tylko wyprowadzeniem czegoś z możności (potentia) do czynu (actus)“. Zatem drewno „cieple czynnie“ = drzewo w ruchu, zatem ciepło = ruch. Jednakże autor „Sumy“ niszczy do pewnego stopnia własny obraz rzeczywistości, nadając ciepłu godność „bytu“. Nawet nad największym teologiem ciążyły przemożnie scholastyczne zwyczaje myślenia. Ciepło uzyskało u niego w ten sposób sprzeczny, podwójny charakter: ruchu i bytu. A taki „byt“ miał jeszcze bardziej metafizyczny charakter, niż potępiona przez Engelsa „siła“). Podobnie pitagorejczycy przeczuwali, że ziemia jest gwiazdą, krążącą wokół „ognia“. Oczywiście, niedrudno jest zrozumieć dystans, dzielący domysł św. Tomasza o naturze ciepła od właściwego odkrycia, omawianego przez Engelsa, jak również odległość między koncepcjami pitagorejczyków a teorią Kopernika.

4) Por. M. T. Huber: „Twórczość naukowa a wynalazczość techniczna w świetle nowych zdobyczy nauk matematyczno-przyrodniczych“. Odczyt wygłoszony w Pałacu Staszica na uroczystym zebraniu w XXV rocznicę powstania Towarzystwa Naukowego Warszawskiego dn. 25 listopada 1932 r. Drukowany w „Wiadomościach Literackich“, nr. 5 (476) z dn. 22. I. 1933.

5) Na tem kończymy omówienie pierwszego dowodu św. Tomasza. Pozostałe cztery nie nasuwają szczególnych refleksyj w związku ze stanem wiedzy współczesnej. Drugi („z pojęcia przyczyny sprawczej“) i trzeci („z tego co jest możliwe i co jest konieczne“ — nadwyrzaz charakterystyczny dla spekulacji scholastycznej!) stanowią pewne modyfikacje pierwszego. Czwararty („ze stopni, które się w rzeczach znajduje“) jest refleksją platonizmu w doktrynie katolickiej, platonizmu, który się do niej dostał dzięki św. Augustynowi. Piąty („z rządów wszechświata“) jest krótkim sformułowaniem stanowiska teleologicznego.

6) Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na jednym fragmencie Jeansa zarówno dla pokazania oblicza fizyki współczesnej, jak i dla sprezentowania oblicza angielskiego astrofizyka — „filozofa“. Jasne, że fragment ten zgóry nie mógł przedstawiać żadnej wartości dla egzegetyki biblijnej. Po pierwsze dlatego, że w podobnie poważny sposób zawsze da się doczepić jakikolwiek werwet do czego się żywnie podoba, a po wtóre dlatego, że wedle „Genesis“ ziemia i woda zostały stworzone przed światłem.

Jeans jest doskonałym przykładem zdolnego fachowca — przyrodnika i dekadentkiego filozofa w jednej osobie. Ze jego filozofowanie (czy teologizowanie) może szkodliwie wpływać na właściwą mu sferę badań, mieliśmy dowód wyżej. Oczywiście w jeansowskich książkach popularyzatorskich znajdujemy tego filozofowania przynajmniej wiele w stosunku do rzetelnych objaśnień teorii i praktyki wiedzy współczesnej. Cóż dziwnego, że jeden z najznakomitszych matematyków polskich pisze (w liście prywatnym): „...znam studium Karola Krausa, obejmujące sto stron bitego druku o akcencie na słowie „rosin-farben“ w pewnym wierszu jambicznym, które zawiera więcej myśli, intuicji, wnikiwości w istotę świata i więcej prawdziwego poznania rzeczywistości, niż cała produkcja Jeansa...“ (por. artykuł Aleksandra Wundheilera p. t. „Fizyka czy filozofia?“ w „Wiadomościach Literackich“ z 22. I. 1933).

7) Warto tu chyba przypomnieć fragment kapitalnego wstępu do „Świętej Joanny“: „Stosunek proporcjonalny osobliwości do faktów wiarygodnych, nie wymagających dowodzenia, w najnowszym wydaniu Encyklopedji Brytyjskiej jest nieporównanie większy niż w biblii. Średniowieczni bakałarze świętej teologii, którzy wyznawali niezdolność ustalenia liczby aniołów, tańczących na główce od szpilki, nie powazyliby się iść w zawody co do łatwości zgoda romantycznej z fizykami nowoczesnymi, którzy do bilionowej cząstki milimetra ustalili każdy ruch i pozycję roztańczonych elektronów. I za nic w świecie nie wazyliby się kwestjonować ścisłości i dokładności tych kalkulacji lub istnienia elektronów (czemkolwiek one są). Los Joanny ostrzega mnie przed takim kacerstwem. Nie jest jednak dla mnie rzeczą jasną, dlaczego ludzie, wierzący w elektrony, mają się uważać za mniej łatwówiernych od tych, którzy wierzyli w aniołów. Jeśli wzbraniają się wierzyć za przykładem asesora procesu Rouen w r. 1431, że Joanna była czarownicą, czynią to dlatego, jakoby wyjaśnienie to było zbyt dziwotwor-

ne, jeno dlatego, że zawiera za mało pierwiastku cudowności“.

8) Porównajmy jeszcze z kreacyjną koncepcją Jeansa odpowiednią koncepcją Eddingtona. Czytamy na str. 78 jego książki p. t. „Czy wszechświat się rozszerza?“: „Skoro nie da się ominąć owej sprawy początku wszechrzeczy, wydaje mi się, że najbardziej przemówi do nas teoria, według której początek ten nie będzie zbyt nieestetycznie gwałtowny... Zgodnie z tem wyobrażam sobie prastan rzeczy, jako równomierny rozkład elektronów i protonów, niezmiernie rozproszonych i wypełniających całą przestrzeń (sferyczną). Rozkład ten pozostaje niemal niezakłócony przez czas niezmiernie długi, dopóki nie ujawni się wewnętrzna jego nietrwałość. Zobaczymy dalej, że można obliczyć gęstość tego rozkładu: wynosi ona około jednego protonu i elektronu na litr przestrzeni. Żadne zmiany narazie nie śpieszą się z zakłóceniem tej jednostajności. Lecz wreszcie drobne, a nieregularne dążności sumują się i ewolucja rozpoczyna swą drogę. Pierwsze stadium — to stworzenie zgęszczeń, które kiedyś staną się mgławicami...“

A dalej, na następnej stronie: „Możnaby postawić zarzut, że teoria nasza nie pozwala uniknąć założenia nagłego początku rzeczy. Cały wszechświat musi powstać w jednej chwili, jeżeli ma rozpocząć swój byt od położenia równowagi. Nie jest to, zdaniem mojem, pogląd konieczny. Wydaje mi się, że nieodróżniona tożsamość i nicność nie mogą zostać odróżnione od siebie filozoficznie. Rzeczywistość fizyczna — to niejednorodności, zdarzenia, zmiana. Założenie jednorodnego, statycznego ośrodka w chwili początku jest nie właściwie niczem więcej, jak ustaleniem pojęć, których będziemy używali przy opisie różnorodnych przedmiotów i zdarzeń, stanowiących treść dziejów świata. Jeżeli idzie o rzeczywistość tego rodzaju, teoria nasza spełnia swe zadanie, zapew-

JERZY WYSZOMIRSKI

CHARTA LIBERTATUM ANIMALIS

W poważnym prowincjonalnym dzienniku polskim zwrócił moją uwagę „list do redakcji“ pewnej pani, opisujący okropną scenę „kastrowania“ świni, czego pani owa była mimowolnym świadkiem. W swych wstępnych częściach list nacechowany był rzeczowością. Pani zastanawiała się ogólnie nad sprawą „kastrowania“ zwierząt, wyznając szczerze, iż dotychczas była przekonana, że „zabieg“ ten, jak się wyraża, czyli „operacja zewnętrzna“, praktykowany bywa tylko na „prosiętach płci męskiej“. Nie przypuszczała nigdy, że istnieje kastrowanie świń — samiec „celem uzyskania większej wagi tuszki“. I oto co ujrzała. Na podwórzu domu, gdzie mieszka, pojawiły się czyjeś prosięta i świnię. Właściciel ich zapytał, czy pani nie zechce użyć swego chlewu, aby tam dokonać operacji. „Ponieważ — pisze pani — widziałam młode prosięta, sądziłam, że mowa o nich, że chodzi o ich kastrowanie. Narazie nie oponowałam“. Zapamiętajmy to zdanie ostatnie, z którego można wnosić, że pani ujęła jednak swego chlewu, i słuchajmy dalej in extenso: „Wiróciwszy z miasta, zaszłam do chlewu i ujrzałam niesamowitą scenę: na drzewiach, wyjętych z zawias i leżących na kozłach, leżała rozciągnięta i skrupowana świnią dorosła, a majster w otoczeniu czeladników babrał się w tej kupie żywego mięsa, wpychając jelita spowrotem do wnętrza. Świnią tylko drgała od czasu do czasu, podczas gdy majster wycinał jej to, co zbyteczne, bawiąc się w ginekologa. Na moje pytanie, czy odbywa się to pod chloroformem, ryknęli wszyscy śmiechem, dodając do tego jeszcze dowcipy“. Z dalszego ciągu dowiadujemy się, że pani nie zapanowała nad sobą, pobiegła do domu, chwyciła rewolwer i dwoma strzałami położyła świnię trupem. List, rzecz naturalna, zamyka się wyrażami najwyższego oburzenia na barbarzyństwo ludzkie oraz wykrzyknikiem tej treści: „Co na to Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami? Czy konieczny jest ten okropny ból, zadawany zwierzęciu? Bo choć świnią jest tylko świnią, człowiek powinien być zawsze człowiekiem!“

List tej pani stanowi może, jak sądzę, ciekawy materiał dla psychologa i psychoanalityka, dla pisarza w stylu Dostojewskiego. Jest uderzającą mieszanką uczuć, naiwności i głębokiego, prawdziwego oburzenia; motywy komiczne splatają się w nim ze wstrząsającymi; realizm opisu — ze zgrzytliwym patosem, występującym zwłaszcza w końcowych wykrzyknikach. Silnie zaznacza się nerwowość i hysterja, która doprowadziła do strzału. Zwrot: „narazie nie oponowałam“ — jest znamienity; świadczy o tem, że z kastrowaniem samców pani godzi się: protestuje tylko przeciw kastrowaniu samicy — ewentualnie gotowa przystać na nią, pod warunkiem, by się odbywała pod chloroformem. Wynikałoby stąd, że protest pani ma swoje źródła poprostu w nieotrąskaniu się z pewnym zjawiskiem; przyzwyczajenie stępiło niewątpliwie ostrość jej reakcji: tak — dla człowieka, który się pierwszy raz znajdzie w rzeźni, mięso stanie się wstrętne na czas niejaki, wówczas gdy rzeźnik, sprawiwszy świnię i otarłszy splamione posoką ręce, z apetytem będzie na temże miejscu zjadał kiełbasę; podobnie zresztą chirurg otrząska się szczerem z bólem i cierpieniem ludzkim. Z listu pani

niając niedostrzegaliśmy i stopniowy początek wszechświata“.

Wątpić należy, czy dzięki dowcipnemu wybiegowi z „nieodróżnioną tożsamością“ naprawdę udało się Eddingtonowi uniknąć zarzutu, że w pierwszym cytowanym urywku opowiedział nie o właściwym początku wszechrzeczy, a o pewnym stanie już danym. Wybaczymy jednak profesorowi tę szczyptę sofistyki, nie żądamy również odefi bliższego sprecyzowania, skąd wzięły się pierwotne „drobne a nieregularne dążności“ do zakłócenia owego najdawniejszego stanu równowagi (wyjaśnienia na str. 8, 69—71 i 75 niewiele wyjaśniają). Na dobro Eddingtona zapisać należy, że nie tak dziecinnie łatwo jak Jeans poddaje on się mistycznej i mitotwórczej gorączce. Nie korzysta z każdej nadarzającej się okazji, aby porzucić twardy grunt fizykalnych realjów i przenieść się w podniebie „nadnaturalnych“ fantasmagorji. Woli się trzymać swoich elektronów, nawet gdy mu się one rozpluwają w „nicność“, w jakąś niezwykłą fikcję pojęciową. Przyznaje w końcu, że „...sprawa początku wszechrzeczy przedstawia trudności najwidoczniej nieprzewycięzione, jeżeli nie zgodzimy się otwarcie uważać go za sprawę nadprzyrodzoną“ (op. cit., str. 173). Ale bynajmniej nie zachęca do takiego stawiania sprawy. Inna rzecz, że nie we wszystkich zagadnieniach zachowuje podobny krytycyzm. Lecz czyż niekonsekwencja i chwiejność nie stały się w dzisiejszych kryzysowych czasach notoryczną cechą męszczańskich naukowców? W danej sprawie ważne jest dla nas to, że Eddington nie identyfikuje „początku“ rzeczy ze „stworzeniem“. Tak samo przewrotny był Kant, który za początek ów uważał „stan najbardziej prosty, jaki mógł nastąpić po nicości“ (w „Ogólnej naturalnej historii i teorii nieba“).

(Dokończenie w najbliższym numerze).

Zygmunt Jaros

możnaby wyciągać inne jeszcze — psychoanalityczne wnioski. Możliwość naprzykład zapytać, jakby się pani zachowała, gdyby, wszedłszy do chlewu, zobaczyła rozciągniętego na desce samca, na którym dokonywa się „operacja zewnętrzna“. Jakby odpowiedziała wówczas na dowcipy i śmiech operatorów? Można także zapytać, czy pani wie o tem, że podobnych operacji dokonywało się i dokonywa na ludziach; że u wielu dzikich istnieje zwyczaj kastrowania kobiet; że niegdyś (a może jeszcze i dziś) soprannowi śpiewacy papiescy bywali trzebieni przed mutacją głosu, i „zabieg“ ten był tak rozpowszechniony, że w Rzymie, u każdego niemal cyrulika wisiał niegdyś (jeszcze w w. XVIII) szyld z napisem: „Si castrano ragazzi a buon mercato“ — „tu trzebi się tanio chłopców“; to dopiero było prawdziwe barbarzyństwo, godne najwyższego potępienia: dla przyjemności ludzkiej, dla zachcianki możnych świata tego kaleczyło się i u nieszczęśliwio dojrzewającą młodzież. List pani — krótko mówiąc — może służyć jako materiał do wielostronnych rozważań, asocjacji i wniosków. W danym jednak wypadku najbardziej interesująca byłaby kwestja pobudek, które zmusiły panią zarówno do gwałtownej reakcji na widok cierpienia świni (zastrzeżenie jej), jak i do publicznego wystąpienia w obronie dręczonego zwierzęcia: to znaczy — w jakim stopniu powodowało panią uczucie egoistyczne (w owem pojęciu, jakie mu nadaje Larocheoucauld) i w jakim stopniu bezinteresowna miłość do zwierząt i litość; przez uczucie egoistyczne rozumiałoby się ów wstrząs psychiczny, jakiego pani doznała, i jej osobisty, przykry — może nawet ciężki nie do zniesienia — stan nerwów na widok torturowanego zwierzęcia, stan, o którym się mówi potocznie: „nie mogę na to patrzeć“. W ten sposób historyczna osoba reaguje zazwyczaj na cudze cierpienie i nieraz, zamiast biec z pomocą, zamyka oczy i dostaje ataku nerwowego, bo „nie może patrzeć na krew“.

Jakież więc były pobudki dwoistej reakcji pani? Trudno, niestety, na to pytanie odpowiedzieć. Natomiast wywołuje ono pewne refleksje i skojarzenia. Na porządku dziennym bywają podobne listy do redakcji albo prywatne rozmowy ludzi, pełne oburzenia na woźniców, katujących konie, albo na miejskich rakarzy, którzy (szczególnie w mniejszych miastach) łapią psy w biały dzień, na oczach dzieci idących do szkoły, wstrząsając ich młode duszyczki i zaprawiając je od maleńkości do okrucieństwa. Troska o młodzież — to jeden motyw oburzenia; drugim bywa sprawa porządku publicznego; trzecim — miłość do zwierząt. Zresztą, kolejność wyliczonych motywów nie jest ważna: być może miłość do zwierząt stoi na pierwszym miejscu. Ważne jest to, że objawy oburzenia zachodzą — niestety — najczęściej u ludzi, których pieska podczas rannego spaceru schwycił przypadkiem hycel, i którzy muszą potem fatygować się do dalekiej rakarni, odnawiając swą pociechę, wykupując ją, tracić czas, zdrowie i pieniądze. W tem „uczuciu egoistycznym“ tkwi — niestety — najczęstszą przyczyną churzenia. Albowiem w innych wypadkach tysiące razy przechodzimy obok bezdomnych, wynędzniałych psów, obok poparzonych wrzątkiem kotów, i jakoś nie zdradzamy chęci zaopiekowania się nimi;

przeciwnie — gotowimy wówczas pisywać listy do redakcji z narzekaniem na bezczynność władz miejskich, które tolerują w „kulturalnych“ miastach plagę bezdomnych psów i kotów: nie jesteśmy przeciw wschodnio brudnym, przedwojennym Konstantynopolem. Co gorsza: widzimy nietylko wynędzniałe psy i koty na ulicach, ale i dzieci wynędzniałe i głodne, i jakoś niezbyt skwapliwie sięgamy po 5 groszy; przeciwnie — odpędzamy je i narzekamy na rozplenienie włośczęgostwo.

Toteż, czytając podobne listy i słuchając wyrazów oburzenia, alarmujących swem miłosierdziem, nie przejmuję się nimi. Myśle wówczas o rakach, gotowanych żywcem; o węgorzach, z których się żywcem zdiera skórę; o zarzynaniu kaczek na czerninę; o różnych sposobach uśmiercania zwierząt. Ksiądz Czerlon opowiada u Nałkowskiej, jak w dzieciństwie zobaczył w kuchni na desce leżącą rybę. Była już żywcem oskrobana, z tępych pyskiem i „ustami w podkówkę“. Podkówka oznacza tutaj i kształt rybich ust i może nasuwać wyobrażenie płaczu. Ryba po tej mecie wydawała się już nieżywa, już nieruchoma. Ale oto wybiła nowa godzina jej męki, gdyż trzeba ją było, jak to się mówi, oprawić. „To ją odrąza ożywia. Zaczyna się rzucać, jakby dotąd nie umierała wcale, jakby tylko drzemała. Trzeba ją przytrzymać. Wreszcie przychyla, dała sobie bez drgnienia wyjąć resztę wnętrza, jakoś to zniosła. Teraz trzeba ją tylko na desce posolić, żeby tak przed smażeniem poleżała. I to dopiero jest ponad jej wytrzymanie: zaczyna się przeciągać, drgać, migotać, żyje minuty i kwadramy, nie może przestać...“ Rozmówca księdza Czerlona, któremu on opowiada to swoje przeżycie, pobladłszy rzuca mu w odpowiedzi pytanie: „Dlaczego mi to mówisz?“ Istotnie, dlaczego ksiądz to mówi? Każdy z nas przecie wie, jak się kucharki obcho-dzą z rybami; każdy z nas może oglądać podobne widowisko kuchenne. Mimo to jadamy ryby, węgorze i raki ze smakiem — co więcej: w restauracjach, bywa, idziemy do akwarjum, wybieramy sobie rybę i nakłuwamy ją mocno szpikulcem, ażeby mieć pewność, że tę właśnie na stół nam podadzą. Tak postępują ludzie niewrażliwi. Człowiek wrażliwy będzie opowieścią księdza Czerlona wstrząśnięty, polednie, straci może apetyt na pewien czas, wreszcie zapomni. Człowiek o naturze księdza Czerlona, po torturach rybich, których był mimowolnym świadkiem, może, jak ksiądz, przestać jadać ryby na całe życie; może nawet wogóle, jak Lew Tolstoj, zostać jaroszem. Zresztą rozważania na ten temat do niczego nie doprowadzą; faktem jest, że jeśli czegoś okropnego i nieludzkiego nie widzimy, nie przejmujemy się tem zbytnio; faktem jest również, że zgłębiając wszelkie rodzaje okrucieństwa, nieludzkości i cierpienia, można dojść do buddyjskiej rezygnacji, do tego gatunku nihilizmu, który Tolstoj ujął w tezę: „niema na świecie winowajców“. Czy pamiętamy te jego słowa, podyktowane — rzecz dziwna — wiarą religijną? Oto one: „Chciałbym, jeśli Bóg pozwoli, wykazać w swej pracy, że niema na świecie winowajców. Ze ten przewodniczący sądu, który podpisuje wyrok śmierci, że ten kat, który wieszka — że doprowadzono ich drogą naturalną do ich sytuacji, tak samo naturalnie, jak my teraz siedzimy tutaj i pijemy herbatę, wówczas gdy wielu ludzi marznie i moknie“. Czy nie możnaby z równym spokojem dowodzić, że rakarz doszedł drogą naturalną do łapania psów, kucharka do solenia ryb żywcem, a rzeźnicy do znęcania się nad świnią? Ksiądz Czerlon wyciąga podobne wnioski z torturowania ryb, bardziej tylko metafizyczne. Zapytuje, czy stan, w jakim się znalazła ryba, jest bólem. Ryba drga, rzuca się — to prawda. Chociaż — powiada z determinacją niewiedzy — może to być ekstaza. Jednak nie, to niemożliwe. To musi być ból. Cóż więc w nim godne uwagi i rozmyślań? To mianowicie, że: „odbywa się to w obrębie świata, i na torturze niema właściwie miary“. A jeśli w ten sposób ujmemy rzecz, musimy dojść do wniosku, że albo jesteśmy obłąkani, albo — skoro istnieje mięką i cierpienie — muszą mieć one sens. Myśl zbliżona bardzo do tolstojowskiej.

Odczytałem sobie opowiadanie księdza Czerlona z „Granic“; zajrzałem do Tolstoja, przeczytałem z niego tę scenę z „Wojujny i pokoju“, gdy kilku felczerów krepuje za nogi i ręce pięknego Anatola, a dwaj lekarze odpilowują mu żywcem nogę (nie znamo wówczas jeszcze chloroformu); przeczytałem także tolstojowski opis rzeźni w Tule, przerażający realizmem i drobiazgowością — tej rzeźni, po której obejrzeniu został Tolstoj jaroszem. Przypomniałem sobie swój dziecięcy wstrząs, gdy przypadkiem zobaczył, jak kucharka zarzyna indyka. Uczyniłem to wszystko pod wrażeniem listu owej pani. I zastanowiłem się głęboko nad jej pytaniem: „Co na to Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami? Czy konieczny jest ten okropny ból, zadawany zwierzęciu?“. Co odpowiedzieć na nie? To, że istnieje rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej z dn. 22 marca 1928 r. o ochronie zwierząt? A w niem artykuł 2-gi, który w punkcie „k“ tłumaczy, że przez znęcanie się nad zwierzętami należy rozumieć „wskelkie wogóle zadawanie zwierzętom cierpień bez odpowiednio ważnej i słusznej przyczyny“? Ale czyż zwiększenie, powiedzmy, wagi tuszki nie jest ważną i słuszną przyczyną? Il faut proclamer la charte de l'animal: trzeba ogłosić wielką kartę swobód zwierzęcia — mówił czujący ktoś dawno już temu.

Czas odnowić prenumeratę

Dlaczego jestem demokratą?

Ankieta »Sygnałów«

Redakcja „Sygnałów“ zwróciła się do przedstawicieli demokracji polskiej z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie: „Dlaczego jestem demokratą?“ Zamieszczamy pierwsze odpowiedzi.

BOLESŁAW DUDZIŃSKI

Ze strony przeciwników i wrogów demokracji wysuwano się pod jej adresem najczęściej dwa zarzuty. Pierwszy dotyczy historycznego rodowodu demokracji, która — jako forma ustroju społecznego i państwowego — miała powstać rzekomo dopiero w w. XIX, wraz z rozwojem pewnych koncepcji gospodarczych i cywilizacyjnych, dziś już przeżytych i nieodpowiednich. „Demo-liberalizm“ wieku XIX — twierdzą przeciwnicy demokracji — w odmiennych warunkach politycznych i ekonomicznych naszego stulecia stracił już rację bytu i podstawy istnienia; demokracja zatem staje się obecnie nieprzydatną i nierealną formą ustrojową dla społeczeństw, kierujących swój byt zbiorowy na inne, bardziej „nowoczesne“ tory. Uporczywe trzymanie się zasad demokracji — słyszymy często takie zdanie — byłoby wielce szkodliwe dla dalszego rozwoju zbiorowości współczesnych, które w dobie ogólnych i powszechnych przewartościowań muszą szukać innych, pożyteczniejszych drogowskazów. Tak więc — w myśl tych wywodów — demokracja jest już conajwyżej szacownym zabytkiem historycznym i pouczającym wspomnieniem o czasach bezpowrotnie minionych.

Z tego jednoznacznego i statycznego ujęcia demokracji wypływa i drugi argument, jakże często przeciw niej kierowany. Zarzuca się mianowicie zwolennikom demokratycznych koncepcji ustrojowych, że za ideal i szczyt osiągnięć ludzkości uznali raz na zawsze te postacie demokracji, w jakiej okrzepła ona i utrwaliła się w w. XIX. To znaczy, że z oczyma utkwionymi w przeszłość nie wychodzą i nie chcą wyjść poza obręb demokracji formalnej, mieszczańskiej i parlamentarnej, która w niejednym wypadku ujawnia przecież bezspornie poważne braki i niedoskonałości. Z takich założeń — świadomie czy nieświadomie fałszywych — wychodząc, antydemokraci nazywają dziś nieraz demokratów — wstecznikami i konserwatystami, sobie przypisując umiejętność przystosowania się do ducha i potrzeb negującej rzekomo demokrację współczesności.

Obydwa te zarzuty, organicznie z sobą powiązane i służące tym samym celom politycznym, uznać należy za nieistotne i bezzasadne. Demokracja bowiem nie jest bynajmniej pojęciem statycznym i niezmiennym, lecz przeciwnie — koncepcją ulegającą ewolucji historycznej, głębokiej i wszechstronnej w swym zakresie. Demokracja nie zrodziła się wcale w „demoliberalnym“ wieku XIX, lecz istnieje — bez przesyady mówiąc — od wieków, skoro znana była i stosowana już w starożytnych republikach greckich. Rytm i kierunek dziejów ludzkości, zespół aktualnych warunków politycznych i gospodarczych, charakter i właściwości lokalne danego kraju i społeczeństwa — zmieniały i zmieniają z biegiem stuleci pojęciową treść demokracji, nadając jej pewien sens określony i pewne formy praktyczne, z odrębnościami danej epoki związane. I dlatego właśnie polska demokracja szlachecka w Rzeczypospolitej przedrozbiorowej nie była tem samym, czem np. jest dzisiaj demokracja parlamentarna francuska lub angielska, zaś demokracja przyszłości różnić się będzie bardzo istotnie od demokracji parlamentarnej typu dzisiejszego.

Nie możemy na tem miejscu omawiać szerzej wszystkich czynników, które oddziaływaniem swym na podstawy i wiązania bytu społeczeństw kształtują taką lub inną postać demokracji. Faktem jest wszakże, że czynniki te istnieją, że natura ich jest bardzo różnorodna, że siła i zasięg ich wpływów nie dadzą się wtłoczyć w ramy jakiegokolwiek ogólnego. Rzeczą istotną dla nas będzie — nie stawiając poniedziałuż rozmaitemi postaciami demokracji znaku równania — odnaleźć i podkreślić wspólne dla wszystkich jej odmian elementy, te właśnie, które od pojęcia demokracji jako takiej są nieodzowne i o realności tego pojęcia decydują.

Elementami zasadniczymi demokracji są, bezwątpienia, **wolność i równość**. Wolność osobista wszystkich obywateli, równość ich praw i obowiązków w stosunku do państwa i zbiorowości. Zakres tych wolnościowych i równościowych uprawnień może być szerszy lub szerszy, nie może jednak przekraczać tej granicy dolnej, poza którą wolność i równość przysługują jedynie nielicznej grupie czy grupom, przez co większość obywateli odsunięta jest od wpływu na losy państwa, a zasada ludowładztwa staje się fikcją lub czczym pozorem. Rządy „elit“, uzurpujących sobie wszelkie prawa na niekorzyść większości, które pozostawiają się tylko... obowiązki, są jawnym i uderzającym zaprzeczeniem demokracji. Gdy zachwiewa się lub runą jej fundamenty: wolność polityczna i równość obywatelska, następuje wyraźny podział społeczeństwa na przeciwstawne zespoły — rządzących i rządzonych; pierwsi, wyposażeni w przywileje

władzy, tworzą grupę niekontrolowaną i nieodpowiedzialną, drudzy, będąc masą, tracą możliwość wpływania na rządy i bieg spraw państwowych — i demokracja istnieje przestaje. Przestaje istnieć, skoro lud — źródło władzy demokratycznej — jest skrepowany i bezwolny.

Ale wolność polityczna i równość obywatelska, to jest to, co określamy dziś mianem demokracji parlamentarnej w znaczeniu zachodnio-europejskim, nie stwarza jeszcze bynajmniej warunków, zapewniających jednostce wszechstronny rozwój sił i możliwości osobniczych. Swobody polityczne nie dadzą się bowiem traktować w oderwaniu od gruntu spraw ekonomicznych, które są podbudową całego bytu społeczeństw cywilizowanych, decydując w ostatniej instancji o kształcie i wyglądzie gmachu państwowego ustawodawstwa. Postulat zapewnienia pełnych możliwości rozwojowych każdemu obywatelowi, jako jednostce i członkowi zbiorowości, wymaga realizacji zasady: **równości gospodarczej**, pojętej — oczywiście — nie w sensie równości arytmetycznej, lecz w sensie równości szans życiowych i sprawiedliwego podziału dochodu społecznego. Osiągnięcie tej równości szans i przebudowa gospodarki społecznej w duchu nie tylko sprawiedliwości, ale i — logiki, to są już programowe dążenia socjalizmu, który jest właśnie: **demokracją socjalną**.

Tu właśnie dochodzimy do punktu, w którym demokracja, jako system ustrojowy, nabiera szerszego i głębszego znaczenia, przechodząc w koncepcję socjalistyczną i stając się jej częścią integralną. Ludziom, podsuwającym nam fałszywe, bo statyczne, pojęcie demokracji, odpowiadaemy, że demokracja jest — przeciwnie — pojęciem dynamicznym i ewolucyjnym. Dlatego też demokraci prawdziwi — wbrew temu, co twierdzą ich wrogowie — nie oddają bynajmniej bezkrytycznych holdów demokracji parlamentarnej, mieszczańskiej, lecz pracują nad tem, by nowe, doskonalsze ogniwo rozwojowego łańcucha form demokratycznych — demokracja społeczna — stało się jak najszybciej rzeczywistością, rzeczywistością dzisiejszą przeobrażając zasadniczo. Gdzież tu więc konserwatyzm, gdzie pochwała kształtów przeżytych, gdzie zapoznawanie wymagań i potrzeb współczesności, — co tak często i tak skwapliwie zarzucają demokraci — różnego autoramentu „totaliści“? Ani na chwilę nie chcemy przypuszczać, że ludzkość ustanie kiedykolwiek w pochodzie ku doskonalszym formom współżycia zbiorowego, ku bardziej idealnemu regulowaniu stosunków politycznych, społeczno-gospodarczych, kulturalnych. I dlatego — nawet ziszczenia postulatów demokracji socjalnej nie uważamy za metę ostateczną i cel końcowy, wierząc, iż droga doskonalenia się nie może mieć końca, gdyż nie zna żadnych ograniczeń twórczy i zdobywczy duch człowieka.

Na ponurem tle chorującego na fałszywym światła, demokracja, w niedoskonałej choćby, lecz prawdziwej postaci, wydać się musi „jak zdrowie“, które cenimy wtedy najbardziej, gdy cieszyć się niem przestajemy. Jakże nie być demokratą, jakże nie bronić demokracji i nie walczyć o nią wtedy, gdy żelazna stopa faszyzmu miądzy dorobek stuleci, z jednostki czyni niewolnika, a z zbiorowości — stado, otwiera drogę pokonanemu już, zdało się, barbarzyństwu i pograża ludzkość w mroki najbarbarzyńczego upadku? Demokracja oznacza dziś nie tylko obronę pewnych zdobyczy politycznych i społecznych, lecz staje się w równej mierze walką o zachowanie i przekazanie przyszłości najcenniejszych dóbr kultury, nauki, moralności. W tej walce więc — nie może być kapitulacji, i od tej walki niema dziś ucieczki.

Dla Polski — wciśniętej pod względem geograficznym pomiędzy dwa kolosalne „totalistyczne“ eksperymentujące, demokracja jest główną i najpewniejszą ostoją potęgi, rozkwitu i znaczenia państwowego. Polska, kraj drobnych rolników i szybko rosnącego w siłę proletariatu przemysłowego, na eksperymenty i hazardy pozwalać sobie nie może, a gwarancją spójności wewnętrznej i obronności wojskowej szukać musi jedynie na drodze ustroju demokratycznego i wolnościowego, gdyż taki właśnie ustrój — zapewniając masom ludowym należyty wpływ na bieg i kierunek spraw państwowych — przetrzyma zarazem na ich mocne i wytrzymałe barki odpowiedzialność za losy państwa, jako „wspólnego dobra wszystkich obywateli“. Bez równości nietylko obowiązków, ale i praw, bez wolności politycznej, bez usilnego i widocznego dążenia ku realizacji postulatów powszechnej sprawiedliwości, koncepcja państwa, jako „dobra wspólnego“ staje się odświeżoną fikcją frazeologiczną, wywołującą gorzkie i niedowierzanie. Najniebezpieczniejsze stąd płynęłyby skutki dla państwa, zwłaszcza w czasach, które przeżywamy i które niezadługo, być może, przeżywać nam przyjdzie.

A z punktu widzenia polskiej polityki zagranicznej, walor demokracji będzie zawsze czynnikiem atrakcyjnym, umożliwiającym Polsce spełnienie tych zadań historycznych, do których z wyroków losu została powołana. Nie precyzując szczegółów, powiedzieć można, że Polska demokratyczna, to in potentia ośrodek krystalizacyjny wszystkich zdrowych i celowych działań politycz-

nych, zmierzających do zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa nietylko na Wschodzie Europy. Zaś Polska, ulegająca obcym wpływom i kopijująca obce wzory „totalistyczne“, stanęłaby wśród zderzających się wzajem imperializmów osamotniona i przez każdy z nich zosobna zagrożona, znalazłaby się w stalowym pierścieniu trudności, dla samych podstaw niepodległego bytu na prawdę — groźnych. Trzeźwy rozum człowieka i państwowy instykt obywatela wskazują Polakowi drogę wyjścia wśród manowców historii współczesnej.

IGNACY FIK

Niedawno miałem sposobność złożyć swoje wyznanie wiary na zadany w ankiecie temat w broszurce p. t. „O żywej treści demokracji“. Pragnęłam w niej przekonać, że:

- 1) tylko zorganizowana demokracja potrafi zadowalająco rozwiązać antynomje praw jednostki i społeczności, jednocząc je w funkcjonalną zależność i dając równocześnie obu stronom maximum warunków rozwojowych;
- 2) tylko demokracja może zaprowadzić na trwałe sprawiedliwość społeczną, znosząc ustrój klasowy i skierowując wszystkie siły społeczne ku celowym i planowym wysiłkom ogólnym;
- 3) tylko demokracja może umożliwić pełny rozwój osobowości ludzkiej, akcentując najbardziej twórcze i altruistyczne jej strony, sublimując zaś instynkty egoistyczne;
- 4) tylko drogą popierania tendencji demokratycznych kontynuować można linię rozwojową kultury zachodnio-europejskiej, zachować wszystkie jej pozytywne zdobycze i zapewnić dalszą żywotność;
- 5) tylko w perspektywach założeń demokracji możliwe jest rozstrzygnięcie wszelkich problemów międzyrodowych i zorganizowanie współpracy państw, przy równoczesnym wykluczeniu interwencji, opartych na gwałcie.

BERLIŃSKIE PIEKŁA

Georg Fink. Dzieci ulicy. Powieść. Autoryzowany przekład G. Nadlerowej. Warszawa, „Płomień“, 1938; str. 369 i 15 nl.

Zwie się ta ulica Christinenstrasse albo jak wolicie Lotringer, Brunenstrasse, czy Schönhauser i Kastanienalle, niema tu żadnego znaczenia. Wpada w Teutoburgerplatz niczem rymśtok bytu społecznego w cuchnący zlew ludzkiego życia. Jest ulicą dzieci nie znających dzieciństwa, przedwcześnie dojrziałych i znużonych, w parę zaledwie lat po urodzeniu przetrzuconych na inną, straszliwie ich dzieciństwu obcą krawędź życia, w otchłań tego, co my z moralizatorską nazywamy deprawacją, a co tam w tych piekłach jest normalnym, codziennym wykonywaniem istnienia, ulicą — uspokojoną się — szarych, wielopiętrowych, nabrzmiałych ludźmi domów. Jest rojowskiem gędzą i występku, które straciły tu zwykłą, dostępną naszej sprawiedliwości miarę, wszechrozgałęzionem kretowiskiem popędów i namiętności, odmalowanym z miłości najgłębszej ku człowiekowi, z umiłowania „ludzi suteren i przepierzeń na strychach, kochanków prostytutek, dziewczek, prątkujących i zapijanych, praczek, gnanych i deptanych dzieci ulicy“.

Niemal żadne życie ludzkie nie toczy się tu utartym, biologicznym trybem, wiódącym do starszego urwaku. Prawie każde nosi patologiczny stygmat i w końcu bierze udział w zbiorowym, beztriumfiem pogrzebie: umiera pod okiem praktykanta szpitalnego Zofja Krüger, matka Marcina, syna poczętego wbrew woli i nieludzko za to przez lata całe katowanego, ojciec Chai Genachow odprawia modły pośmiertne za zbiegłą, straconą córką, kona na wezgielciu mokrem od lez Czarna Rachel, daremnie szukająca miłości prostytutka, z kanału wydobywają nadzarte przez szczyry zwłoki zamordowanej Ingi Balduweit, Ryszard i Walter Hesse padają na barykadach, prawie nikt nie schodzi tu z życia w bieli poduszek, w asyście duchownego, świec dogorywających brzegami łoża.

Akcja jak niemożliwa do poskromienia ośmiornica oplata się wokół przekłętą syna Zofji Krüger, Marcina Gärtnera, w którym, dziecku, podlegającym cichym prawem zemsty za złamane życie najwymyślniejszym torturom, z premedytacją wykoszlanianem fizycznie, przejawia się duch boży, iskra wielkiego talentu, prowadzącą kulawego i garbatego Marcina ku sławie, oraz wokół drugiego wielkiego lecz marniejszego talentu — Abła Adlera, zamożnego chłopca, trwoniącego uczucie, hojnie szafującego miłością dla głodnych, zniebniętych i skrwawionych, miłością, która odepchnięta brutalnie podaje mu samobójczą kulę.

Postacią napoły pierwowzoplanową jest stary Żyd, Maurycy Lesser, boodenbrockow-

Obecnie radbym dodać dwa motywy dodatkowe, o charakterze bardziej taktycznym i osobistym:

a) Szczególnie społeczeństwo polskie, w dużym stopniu dotychczas niedojrzałe kulturalnie i nieumiejętne w działaniu zbiorowym, wymaga szczerego i bezpośredniego wychowania demokratycznego, a to ze względu na polityczną i społeczną sytuację państwa. Polska musi zwiększyć ilość twórczych i odpowiedzialnych obywateli, związać ich racje z tendencjami rozwojowymi państwa. Może się to stać przez dopuszczenie mas do bezpośredniego udziału w tworzeniu wartości społecznych, za które wezmą one odpowiedzialność. Ten sposób mnożenia życiowego potencjału społeczeństwa jest przynajmniej tak ważny, jak powiększanie ludności przez przyłączenie nowych obszarów czy przez naturalny przyrost. Sens i siła państwa rośnie proporcjonalnie do zanikania różnic między przedmiotem i sensem państwa a jego obywateli. Niepodległość i wolność kraju można budować tylko na niepodległości i wolności osobistej jego mieszkańców. Całkowita i dobrowolna tożsamość państwa i obywateli możliwa jest tylko w ustroju prawdziwie demokratycznym.

b) Mój osobisty światopogląd, moje zasady moralne i usposobienie, moje możliwości, ideały i ambicje życiowe, mój rodowód społeczny (dziadek — chłop, ojciec — proletariusz), moje wreszcie szczęście osobiste — wiążą mnie nierozłącznie z atmosferą, w której rodzą się idee demokratyczne. W ten sposób mój prywatny interes każe mi sprzymierzać się z temi siłami społecznymi, które w wysiłkach nad zapewnieniem demokracji widzą walkę o własne prawa bytu. Pragnę życia, któreby w każdym epizodzie było zgodne z moimi przekonaniami rozumowymi, któreby nie zadawało gwałtu moim uczuciom, a woli pozwoliło uczestniczyć w zbiorowych działaniach swobodnie i odpowiedzialnie. Tego samego chcę dla wszystkich innych ludzi. Nie widzę zaś warunków dla takiego życia ani w chaosie ustroju kapitalistyczno-liberalnego, ani pod jarzmem dyktatury totalistycznej. Ponieważ na szczęście: tertium datur — jestem za demokracją.

DEZYDERY SZYMKIEWICZ

Dlaczego jestem demokratą? Dlaczego brzydzę się wszelkim gwałtem, bez względu na to, na kim jest wykonywany i w jakiej intencji? Dlaczego cenię nade wszystko wolność? Nie wiem. Widocznie takim się urodziłem.

ski dekadent, zdeklasowany patrycjusz, udzielający lekcji gry na fortepianie, który czci schodzący na manowce genjusz Abła i z głęboką współczucia („choć jedna z owych nieszczęśliwych istot uratować“), dźwiga z dna pogardy Marcina, by po tragicznej śmierci Abła i osiągnięciu indygenatu mistrza przez dorosłego już Gärtnera, „odejść na tulaćkę z wiarą w nadejście czasu, w którym drzewo będzie miłowało siekiere, a ogień wodę“.

To jest powrót do kraju, w którym autor „był głodny“. Fink wyznaje to, jak wyznaniem jego wiary jest przekonanie, że człowiek rodzi się, by cierpieć i doznawać bólu, męcząc się świadectwem o nieuleczalności wielkiego miasta, bezcelowości terapii społecznej w stosunku do gędy i występku. Jego filozofia łączy i dna człowieczego odbiera wszelką nadzieję zwalczania katakumb społecznych, grząskich peryferii życia, wyklucza nawet mocowanie się z hydrą. Matkom morderców, morderczyń i prostytutek, przezywającym we wstydzie po raz wtóry stokroć gorsze bóle porodowe, ostatnią pociechę niesie gumowa rura gazowa w ustach, piętnastoletnim matkom, rodzającym „pogładow“ w wypełnionej studentami sali kliniki, uciekającym w ciemną noc z domu poprawy do swego dziecka w przytulku, na wieść o jego śmierci — ostatnim krokiem policjanta uchodzący — skok w wieczny spokój fal. Zarówno przypiekanie rozpalonym żelazem Marcina jak i morderstwa gnanego tajemniczą siłą w niezłomnym popołudniu szynkarza Sadewassera, każde z ogniw wielkiego łańcucha przestępstw ma tu swoje żelazne uzasadnienie: logiczną wartość i psychiczny rodowód, których niesposób obalić, autonomiczny autorytet materialny niemal jak prześwietlenia podziemi duszy przez Dostojewskiego, autorytet realności, który trudno podważyć. „Jeżeli jeden człowiek potrafił tego dokonać — mogą to samo zrobić wszyscy. Wszyscy jesteśmy w stanie mordować, a w wypadku przestępstwa winne są tylko warunki, umożliwiające przebudzenie się bestji“.

Tak zeznaje przed sędzią śledczym dwudziestoletni Kurt Rogiński, współmorderca starego zegarmistrza Philippa. Niema możliwości wypalenia tej dzielnicy ludzkiej do białosci rozżarzoną żelazem. Co się dzieje wśród jednych, może się dziać wśród wszystkich. Dzielnica „treduwatyck“ Berlina może istnieć wśród dzielnic Warszawy, Londynu, Paryża, Nowego Jorku. Istnieje napewno; nietylko w tych wielkich miastach, ale codziennie obok nas.

Nie pierorze jej jednak i nie zrówna z bujną, zdolną nowe, silne życie rodzic ziemie bezbrzeżna choćby miłość i rozdarcie, krwawiące serce. Rozpaprze tylko jej bechwy i szerzej roznieć fetor.

Franciszek Gil

K. W. ZAWODZIŃSKI

Wytyczne polityki katolickiej*)

Na terenie europejskim: potępienie doktryny Maurrasa przez stolicę apostołską; niezłomna postawa katolicyzmu niemieckiego, stanowiącego jedyny (o boku znacznie słabszego, niezorganizowanego oporu części protestantów) jawny opór przeciw hitlerystom; potępienie oportunistów kardynała Innitzera; gest papieża w stosunku do wizyty Hitlera we Włoszech; odpowiedź jego na ujawnienie tendencji rasistowskich faszyzmu. Z drugiej strony niewątpliwa przychylność dla Hiszpanii narodowej, co nie przeszkadza pewnej grupie katolików francuskich zajmować prorpoblikańskie w tej sprawie stanowisko. —

Na terenie Polski: utożsamianie się tendencji nacjonalistycznych z katolicyzmem; „pielgrzymki“ młodzieży o wyrażnym zabarwieniu politycznym, uczestniczącej lub przychylnie usposobionej do potwornych zbrodni, hańbiących mury uniwersytetów; akcja niższego kleru na rzecz walki z Żydami. Z drugiej strony nacechowane umiarkowaniem orędzie episkopatu polskiego, przypominające elementarne zasady chrześcijańskie miłości bliźniego i wynikające stąd konsekwencje w stosunku do skrajnych form antysemityzmu; wyraźne rozgraniczenie katolickiego i nacjonalistycznego stosunku do Żydów, ujawnione z okazji napaści na ks. Pudra. —

Wszystko to i wiele innych faktów, których niesposób wyliczyć, aktualizuje rolę katolicyzmu w rozgrywającej się walce przeciw kulturze europejskiej tradycyjnego typu, walce, wypowiedzianej przez totalizm różnego gatunku. W tej walce, która jest zarazem walką o wolność, stanowisko kościoła nieraz wywołuje zdziwienie, rozczarowanie jednych, nieoczekiwane gesty ze strony drugich, niespodziewane napaści i nieuzasadnione nadzieje innych. Wartości w tej sprawie (a bezspornie pobudką służy mi artykuł Józefa Luhojańskiego „Zmierzch antyklerykalizmu“ w numerze 50 „Sygnałów“ z dn. 1 sierpnia b. r.), przypomnieć pewne najzupełniej elementarne prawdy, poprostu truizmy, które jednak w ogniu walki wychodzą z głowy zainteresowanym, a których przypomnienie przyczyni się, jak sądzę, do wyjaśnienia sytuacji i ustalenia prognozy.

Takim największym truizmem jest przypomnienie uniwersalności katolicyzmu, w samej jego nazwie zaznaczonego. Ten uniwersalizm uwydatnia się jaskrawo przez porównanie katolicyzmu z innymi wyznaniem chrześcijańskimi.

Pomijając już te, które w sposób najwyraźniejszy z przyczyn historycznych związały się z pewną narodowością, np. ormiańsko-gregoriańskie, lub w innych historycznych warunkach zacieśnione do granic jednego państwa — anglikańskie, stwierdzić trzeba, że naogół wyznania protestanckie, wyjąwszy chyba może kalwinizm w jego „czystszej“, nie „masowej“ formie religii nielicznych rodzin wśród inaczej wierzących społeczeństw, np. w Polsce, na Węgrzech, skłonne są ze swej natury do przeradzania się w kościoły narodowe czy państwowe. Tak samo prawosławie; przyczem olbrzymia ilościowa przewaga jednej narodowości lub przynajmniej dwóch bliskich sobie i związanych w jeden organizm państwowy (Wielko- i Malorusi) nadaje prawosławiu zabarwienie narodowościowe, którego nawet i w zmienionych warunkach wyzbyć się nie może (przykładem mogą służyć trudności tej sprawy na terenie Polski, nie zawsze przez nierozsądną politykę wyznaniową państwa polskiego zawinione). Świadomie i nie od dzisiaj katolicyzm sprzeciwia się twórczości kościołów narodowych (walka z galikanizmem), tworzeniu patriarchatów i t. d. Nawet te uzusy kościoła katolickiego, które mogą się wydawać uprzywilejowaniem jednej narodowości (wybór papieża spośród kardynałów włoskich i używanie języka włoskiego jako pomocniczego w e-nuncjacjiach stolicy apostołskiej), mają na celu usunięcie rywalizacji międzynarodowej w najważniejszych sprawach życia doczesnego kościoła, który stać powinien ponad narodami.

Spśród zaś wyznań niechrześcijańskich do porównania nasuwają się dwa tylko: buddyzm i islam. Ale co do buddyzmu, imponującego liczbą wyznawców, stwierdzić trzeba, że w wielu krajach, daleki od wyłączonej, współżyje on, a raczej „kontaminuje się“, w świadomości religijno-filozoficznej jednego osobnika z innymi systemami religijno-filozoficznymi: konfucjonizmem, szintoizmem, zmieniając przyletem, zależnie od kultury danego narodu, swój charakter tak dalece, że bodaj tylko w przybliżeniu można mówić o jego jedności. Islamowi chyba przeciwnie nie można odmówić jedności na przestrzeni od środkowych Chin i archipelagu Malajskiego po zwrotnikową Afrykę i Marokko, ani prężności prozelityzmu (jego postępy na terenie Afryki, mimo że pozbawione opieki sztabu państwowego, mogą równać się zwycięsko z postęпами misyj chrześcijańskich w ciągu ostatniego półwiecza); jego znaczenie cywilizacyjne, w sensie wpływu na etykę społeczną, nie jest

dotąd, zdaje się, znane i docenione w Europie. Ale rozważania nad istotą tej abstrakcyjnej i ograniczonej do niewielu elementów zasadniczych religii nie zmieszczą się w ramach niniejszego artykułu. Niewątpliwie — pomimo roli Arabów do dziś w jego rozszerzeniu — uniwersalizm islamu nie przeszkadza zresztą stwierdzeniu, że uniwersalizm kościoła katolickiego jest podstawową jego cechą; z tego stwierdzenia należy tylko wyciągnąć nasuwające się wnioski.

A więc: gdy „jeden pasterz i jedna owczarnia“; gdy najstarszy już autor Nowego Testamentu, św. Paweł, mówi wyraźnie: „nie masz żyda ani greka“ (Do Gal. III, 28), kościół, pomimo najrozmaitszych kompromisowych oświadczeń, zawsze jest zasadniczo usposobiony nieprzychylnie do wszelkiego nacjonalizmu, nietylko tego, który rozkwita w dzisiejszych czasach, ale i do jego łagodniejszych form współżyjących z liberalizmem XIX w. i rozwijających się w ciągu tego stulecia pod hasłem doktryny narodowościowej, samostanowienia narodów, czy też pod bardziej szerokim i mętnym hasłem wolności ludów. Już związek tych wszystkich ruchów z Wielką Rewolucją, z tendencjami Napoleona i napoleonidów, z późniejszymi ruchami rewolucyjnymi Europy, robił je podejrzanymi w oczach miarodajnych czynników polityki watykańskiej. Kościół, ponieważ nie może zrezygnować państwa bożego na ziemi i musi wchodzić w kompromisy z władzami świeckimi, więc woli już kompromisy z państwem jako nieuniknioną kategorią formalną administracyjnego podziału ludzkości, godząc się na metamorfozy tego podziału i przyjmując za słowo: „każda władza pochodzi od Boga“; kościół woli już zewnętrzny stosunek chrześcijanina do państwa jako do konieczności życia doczesnego, nakazując oddawać „co cesarskiego cesarzowi“, aniżeli umiłowanie tej ze swej istoty (w wyobrażeniach swych członków) wiecznej kategorii życia, jaką jest naród, umiłowanie aż do chętnego poświęcenia życia.

W świetle tych stwierdzeń mogą być rozpatrzone niektóre historyczne przykłady stosunku kościoła do narodu, podlegające zwykłe z subiektywnych względów fałszywemu i stronniemu oświetleniu. Takim jest sprawa enyklikki Grzegorza XVI po powstaniu listopadowym. Dla jednych była ona odskocznią do walki z kościołem, bądź politycznej, bądź w płaszczyźnie religijnej, czy to w formie wolnomyślicielstwa czy heterodoksji mistycznej; dla innych pobudką do obrony kościoła, bądź przez sofistyczne komentarze, bądź przez odwoływanie się do decyzji „papieża źle poinformowanego“, bądź przez subtelne rozróżnianie polityki doczesnej papieża od jego czynności jako autorytetu religijnego. Dla jednych i dla drugich było jasne, że antyklerykalizm i antyklerykalizm zostają uzasadnione oczywistą potwornością i sprzecznością (z pozorami) tego wystąpienia papieża z duchem chrześcijaństwa i z interesem uciśnionej społeczności katolickiej. A tymczasem wystąpienie to było logiczną konsekwencją zarysowanego powyżej stosunku katolicyzmu do państwa i do ruchów narodowościowych. Ich awangarda był ruch niepodległościowy w Polsce, związany realnie ze sferami radykalnymi, demokratycznymi, masonskimi, a przynajmniej liberalnymi; jego geneza w nowoczesnej formie wiązała go z tradycją legionów, więc z tradycją sojuszu z Wielką Rewolucją; sam termin „patrioty“ nasuwał wspomnienie tej łączności, będąc niegdyś synonimem jakobina. Wszystko to nie mogło skłaniać na jego stronę sympatji Rzymu czasów Restauracji. Tymczasem państwo rosyjskie, choć akatolickie, nie mogło — pomijając już wyżej określone zasadnicze wytyczne stosunku do państwa — budzić szczególnych obaw ni wstrętów. Jego przedstawiciele za Królestwa Kongresowego popierali wszelkie reakcyjno-katolickie postulaty w zakresie ustawodawstwa (prawo małżeńskie) czy administracyjnej walki z liberalizmem (cenzura). Szczególnie panowanie Pawła i Aleksandra I, skłaniających się w tej czy innej formie do katolicyzmu, w cesarstwie rosyjskim, które jeszcze od czasów Katarzyny przechowało, chroniąc od zagłady po kasacie, zakon Jezuitów, mogło budzić tylko najróżowsze nadzieje kooperacji, a, być może, w dalszej przyszłości, i zjednoczenia kościołów, co jak wiadomo, należy do wielkich celów polityki papieskiej; panowanie Mikołaja I, koronowanego przez biskupa katolickiego króla polskiego, w początkach, zanim, dobrze już po 31-ym roku, wyklarowały się jego intencje względem Unji, nie mogło też pudzić szczególnych obaw na przyszłość. Dopiero kasata Unji w Kraju Zabranym wywołała reakcję Rzymu i, niezależnie od osobistej liberalnej postawy Piusa IX, postawę antyrosyjską i propolską Watykanu w późniejszych wypadkach, szczególnie w powstaniu styczniowym, gdzie doszło do rzadko spotykanej kontaminacji wojny religijnej z ruchem o charakterze jakobińskim i wywrotowym pod kierownictwem elementów, które odegrały tak wybitną rolę następnie w Komunie Paryskiej. Wkrótce jednak po tych wypadkach odżyła antynomia pomiędzy fanatycznym, bezgranicznie ofiarnym umiłowaniem ziemskiej ojczyzny i swego narodu z jednej strony, a

wiecznymi celami chrześcijanina na ziemi, wskazywanymi przez kościół, z drugiej.

Same wypadki 63-go roku stały się przedmiotem rewizji z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej. Bezwzględnie, kolidujące z obowiązującymi w etyce ogólnoludzkiej zasadami miłości bliźniego i wykonywania wyroków tylko na dostatecznie przekonanych winowajcy, wystąpienia terrorystyczne żandarmerji narodowej, spotkały się z potępieniem nietylko humanitarystów (por. „Omyłkę“ Prusa), ale i publicystów katolickich: zasada „cel uświęca środki“ nie mogła być oczywiście uświęcona, gdy chodziło o cele ziemskie i doczesne. Nienawidzić, uczucie nieuniknione w zaciętej walce narodów, skonfrontowane zostało z przykazaniem: „miłujcie nieprzyjaciół wasze“. U niektórych pisarzy katolickich, u tych mianowicie, których cechowała bezwzględność i uczciwa konsekwencja myślenia, antynomia została rozszerzona i wysunięty otwarcie prymat celów wiecznych, które powinny przyświecać katolikowi, przed dążeniami do osiągnięcia jakichkolwiek celów ziemskich doczesnych, choćby szlachetnych z pozoru i aprobowanych przez szeroką opinię, nietylko własnego narodu, ale i całego świata cywilizowanego. Jeśli państwo, choćby akatolickie, nie kładło tamy życiu religijnemu katolika, nie przeszkadzało mu materialnie w jego dążeniu do zbawienia za grobem, jeśli msza mogła się odprawiać, choćby modły dodatkowe miały być odmawiane w języku urzędowym, niemilnym w oczach politycznych słuchającym, to walka z państwem powinna być uważana za sprzeczną z zasadniczymi podstawami stosunku chrześcijanina do państwa i mogła tylko oderwać go od całkowitego poświęcenia się samodoskonaleniu i ucynkom świętobliwym na ziemi. Publicyści „historjografowie, którzy naucaży w tym sensie, byli potępieni, a nawet wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, które miało prawo wymagać od swych członków solidarności, przynajmniej w zapobieganiach na pewne zasadnicze cele i obowiązki życia narodu; słowa ich cytowane chyba ku ich napietowaniu, tak jak ostatnio cytował je w jednym z czołowych postaci tego ruchu. Pawła Popiela, Hulka-Laskowski. Stanowisko takie z szerszego punktu widzenia nie jest sprawiedliwe, tem bardziej, że ludzie ci, jak wyżej wymieniony np. lub jak Jerzy Mossyński, zanim wystąpili publicznie ze swą ideologią, umieli stwierdzić, niekiedy czynem i krwią, że są dobrymi Polakami i że głoszone przez nich zasady nie zrodziły się pod wpływem niskich materialistyczno-osobistych pobudek. Ale konsekwencja myślenia i odwaga cywilna nie są cnotami zbyt rozpowszechnionymi nigdzie, a tem bardziej w Polsce, toteż na podstawie takich czy innych kompromisów myślowych dochodziło znów do współdziałania katolicyzmu i patriotyzmu, a nawet, jak tego ostatnio jesteśmy świadkami — skrajnego, nawet rasistowskiego nacjonalizmu.

Wciąż pozostając na gruncie polskim, można przytoczyć jeszcze jeden przykład niezbyt wyraźny lub jednostronnie oświetlony, stosunku miarodajnych czynników katolickich do interesów narodu czy państwa. Postawa nuncjusza papieskiego w czasie najazdu bolszewickiego była podawana jako dowód nietylko daleko idącego współdziałania moralnego najwyższych czynników kościelnych ze stroną polską w tej wojnie, ale także jako dowód osobistej sympatii i wysokiego zaufania do narodu polskiego w chwili próby ze strony Monsignora Ratti. Jak wiemy, choć poprzez 18 lat oddziaływających nas od tego momentu zatarało się dużo w naszej pamięci, uczucia nasze do tego dostojnika w krótkim czasie potem były wystawione na poważną próbę wskutek akcji jego w momencie przedplebiscytowym na Górnym Śląsku, akcji, nie liczącej się z interesem Polski, przeciwnie raczej przynoszącej wybitną pomoc stronie przeciwnej. W świetle tych wypadków nieco inaczej możemy komentować i decyzję pozostawiania w Warszawie zagrożonej przez bolszewików aż do ostatniego momentu. Nie jest tajemnicą i nie przez wrogów kościoła jest publikowane, jeno w życiorysie, napisanym po polsku przez kawalera orderu papieskiego, że mgr. Ratti miał zamiar pozostać w stolicy polskiej także po jej zajęciu przez wojska sowieckie i projekt ten wysuwał w korespondencji ze swymi władzami, motywując celowość tego kroku możliwością rozwiązania akcji opieki nad katolikami i wiarą na terenach podlegających władzy Sowietów. Zezwolenia nie otrzymał; znając jednak tego dostojnika jako postać wybitną, napewno zdolną do wielkich decyzji, nie możemy oprzeć się przypuszczeniu, że dałby się on zapamiętać w zdobytej Warszawie, dokonywając czynu „świętobliwego nieposłuszeństwa“, czynu, o którym nie można wyrazić się bezstronnie inaczej, jak o bardzo odważnym i dążącym do wzniesienia celów, które w owym momencie, rozbiecia i poniżenia opuszczonego, zwalczanego przez państwo, prawosławia, wydawały się bliskie i łatwe do osiągnięcia. Przypuszczenie to potwierdza stanowisko stolicy apostolskiej za pontyfikatu Piusa XI w sprawie przygotowania do pracy misyjnej na terenie Rosji, pracy, nie liczącej się z interesami narodowymi Polski, wywołującej głos-



Pamiętaj
MYDŁO TOALETOWE
MAJDE PRZYWRACA
CERZE ŚWIEŻOŚĆ



no protesty w prasie i sejmie, a wyrażające się zewnętrznie w tworzeniu kościoła „katolicko-prawosławnego“ przez duchownych katolickich, porzeczających za popów prawosławnych, których ziemską siedzibą i terenem działalności, jak dotąd, są ziemie białoruskie w dzisiejszych granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Gdyż praca misyjna na terenie Z. S. R. R. nie okazała się w następstwie ani łatwą, ani nęcącą.

Tak więc najbardziej „polski“ z papieży, witający u siebie polskim słowem naszych pielgrzymów, niemniej jest wybitnym przedstawicielem tej tendencji polityki watykańskiej, która „stawia na Rosję“, przekładając możliwość przyłączenia większego narodu do wiary katolickiej, nad interes doczesny rywalizującego z nim mniejszego, choć zawsze wiernego sobie narodu, który, wbrew tradycji wolnościowej, sumiennie stosuje przymus praktyk religijnych w szkole i przymus wiązania ważniejszych w życiu prywatnym „aktów stanu cywilnego“ z obrzędami kościelnymi. Nie zdziwi nas to, jeśli zastanowimy się, że dla urzeczywistnienia powszechnego zjednoczenia, któreby było istotną kontynuacją „pax romana“, t. j. zjednoczenia w jednym organizmie państwowym całego świata, kościół katolicki musi dążyć raczej do zwycięstwa większych organizmów państwowych i wchłonięcia w nie mniejszych tak, by tą drogą (która jest realną choć długofalową drogą istotnego pacyfizmu) dojść w końcu do urzeczywistnienia przynajmniej organizacyjnego ram, w którychby się mogła rozwijać jego akcja ideowa w myśl zasady „jeden pasterz — jedna owczarnia“. Ta droga do urzeczywistnienia wymarzonej „civitas Dei“ wydaje się trzeźwo myślącym kierownikom kościoła pewniejsza, niż próby tworzenia państw teokratycznych (jakim było państwo jezuitów w Paranie w XVIII w.). Państwo teokratyczne, to znaczy — państwo totalne, którego totalizm nosiłby charakter integralnego wcielenia w życie, zarówno polityczne, jak i prywatne każdego obywatela, od kolebki do grobu — zasad katolickich pod kierownictwem powołanych do tego przewodników. Próba jezuitów przeprowadzona na zbyt małą skalę nie mogła uwieńczyć się powodzeniem: jest to problem realizacji specyficznego ustroju w ramach jednej, otoczonej odmiennymi, organizacji państwowej, problem, który, jak wiemy, był ostro stawiany nawet w Z. S. R. R., pomimo wielkości tego państwa — kontynentu. Jeśli za cechą zasadniczą totalizmu uznamy nie tę czy inną ideologię, nie te czy inne formy władzy, ani nawet jej absolutyzm, o ile ten absolutyzm dotyczy funkcjonowania państwa w jego dawnym ograniczonym znaczeniu, lecz rozciągnięcie ingerencji państwa na całokształt życia każdego obywatela, ujednostajnienie jego przekonań i jego filozofii i umormowanie podług szczegółowych zasad jego życia prywatnego — to kościół katolicki dzięki swej wszechświatowej organizacji, dzięki poczuciu swej powszechności i ponadnarodowości ma wszelkie dane, aby ideał państwa totalnego urzeczywistnić, oczywiście w ramach wszechświatowej organizacji państwowej. I właśnie dlatego kościół katolicki musi być nieubłaganym wrogiem każdego innego totalizmu, który przedewszystkiem, tak jak to się już stało w Sowietach i tak jak to się staje w Niemczech hitlerowskich, będzie dążył do opanowania podstaw życia prywatnego: przekonania religijnych i najpewniejszej drogi do ich wpojenia, wychowania młodzieży od wieku dziecięcego zaczynając, poza rodziną lub w rodzinie, podlegającej odpowiedniej presji. Nieśpieszny, akcji swej

*) W dalszym ciągu dyskusji na temat katolicyzmu i socjalizmu, która wywołała szeroki odzew w prasie katolickiej („Kultura“, „Polonia“, „Wiara i Życie“), otrzymaliśmy artykuł K. W. Zawodzińskiego.

nie planujący pięciolatkami, lecz poprzez wieki dążący do swych celów, kościół katolicki bywa ustępliwy na wszystkich punktach, tylko nie na punkcie swego udziału w wychowaniu młodzieży, a zwłaszcza organizacji rodziny. Stąd, pomijając względy nie do pogardzenia posiadania źródeł dochodu, płynnie zaciętość jego w kwestji prawa małżeńskiego, które, jak wiemy i u nas nie zostało z martwego punktu.

Reasumując te nasze uwagi o zasadniczych liniach polityki watykańskiej, jak też ich konsekwencje w chwili teraźniejszej możemy stwierdzić:

1) Elastyczność tej polityki i gotowość dostosowania się do każdej formy rządzenia i do panujących tendencji społecznych, w każdym państwie, byle dość potężnym: przypominamy sobie gesty koncyliacyjne w stosunku do Sowietów przy pierwszym ich pojawieniu na arenie polityki europejskiej — konferencja geneńska — gesty nieco gorszące wobec prześladowań religijnych już w ówczesnej Rosji. Ani sojusz z arystokracją monarchiczną, ani z kapitalizmem nie należą do wytycznych polityki watykańskiej, choć skutek powolnych jej obrotów trwają niekiedy ponad potrzebę praktyczną; przeciwnie, kościół woli zawsze porozumienie z szerokimi masami, niż ze szczytami oligarchji (z którą liczy się tylko, gdy jest dzierżycielką władzy), prawo zaś własności ogranicza tylu zastrzeżeniami, że nie o wiele jest w jego ideale szersze, niż w zrealizowanym ustroju socjalistycznym; liberalizm pod każdym względem również mu jest antypatyczny. „Civitas Dei” — my sobie wyobrazić jako coś w rodzaju rozciągniętego na świat cały Z. S. R. B., tylko z zapewnieniem klerowi stanowisk kierujących i „rządu dusz”.

2) Więc nie sprawa społeczno-gospodarcza jest przyczyną nieubłaganego wrogiego stosunku kościoła do Sowietów, ma ona również stwarza konflikty z innymi państwami totalnymi, w ten czy w inny sposób wywłaszczającymi swych obywateli — choć oczywiście sprawa wolności myśli jest mocno związana z niezależnością ekonomiczną ludności od państwa; nie o nią przecież, ani o wolność sumienia chodzi kościołowi. Istotą konfliktu jest wyzderzenie „rządu dusz” przez konkurencyjny totalizm. Stąd wrogość w stosunku do komunizmu i wynikające stąd popieranie państw antykomunistycznych dopóty, dopóki nie dochodzą do bałwochwalczego nacjonalizmu.

3) Kościół katolicki jest powszechny, więc bez zaprzeczenia swej istocie nie może poprzeć żadnego nacjonalizmu, tem bardziej rasizmu, ani zgodzić się na ubóstwienie ziemskiej ojczyzny lub własnego, biologicznego rdzenia przez którykolwiek naród. Godzi się natomiast z doczesnym istnieniem państw i szuka modus vivendi z każdym z nich, wzamian za poparcie doczesnej władzy, dającą możliwość kierowania duszami obywateli, z pomocą, w razie potrzeby, „ręki świeckiej”. W razie konfliktu między państwami gotów jest zawsze poprzeć delikatnie większe bataljony, uznać fakty dokonane zaboru i przychylnie patrzeć na dążenia do stworzenia imperjum wszechświatowego, które jest jego ideałem. W braku imperjalizmu katolickiego i ponadnarodowego (jaki reprezentowały dawniej np. monarchie Habsburgów), stanie po stronie mocarstwa raczej akatolickiego i liberalnego, niż po stronie totalistycznego i nacjonalistycznego. W gotującej się wojnie (założony przez bezczynność Sowietów), wybór jego byłby łatwiejszy, niż przed ćwierćwieczem, gdyby nie poważna komplikacja materialna: Rzym jest we Włoszech.

K. W. Zawodziński

Uchylenie konfiskaty »Sygnałów«

VI. 1. Pr. 639/38. Wyciąg z protokołu wspólnego posiedzenia niejawnego. Sąd Okręgowy Wydział VI. 1. karny we Lwowie w składzie przewodniczący: S. S. O. Dr. J. Locker, Sędziowie S. O. R. Michale i S. O. J. Blumicz w sprawie Sygn. VI. 1. Pr. 639/38 konfiskaty czasopisma p. t. „Sygnały” z daty Lwów, dnia 15/XI 1938 r., nr. 57 rozpoznawszy wniosek Prokuratora Okręgowego we Lwowie z dnia 17/XI 1938 r., Sygn. IX Ds. 975/38 o zatwierdzenie dokonanej dnia 12/XI 1938 przez starostwo grodzkie we Lwowie konfiskaty powyższego czasopisma spowodu, że w ilustracji na stronie 8 wraz z tekstem mieszczą się znamienna wyst. z art. 170 k. k. na posiedzeniu niejawnym dnia 18 listopada 1938 r., po wysłuchaniu wniosku Prokuratora okręgowego postanawia wniosku nie uwzględnić i dokonaną konfiskatę uchylić. Uzasadnienie. W treści inkryminowanej ilustracji wraz z tekstem, umieszczonej w wymienionym wyżej czasopiśmie, nie dopatrzył się Sąd znamienny jakiegokolwiek czynu karnego, w szczególności z art. 170 k. k., gdyż treść tejże ilustracji nie może wywołać niepokoju publicznego. Przewodniczący: Dr. Locker wr. Protokolant: Mr. Barabolak wr. Za zgodność kier. sekr. (podpis nieczytelny).

Czytajcie prasę demokratyczną

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Glossy o kulturze narodu

Na łamach katolickiego czasopisma „Obrona Kultury” toczy się dyskusja — właśnie na temat kultury — pomiędzy redakcją i p. Jerzym Hulewiczem. Przyjmuje nie bez pewnej sympatii — obwarowanej, oczywiście, zrozumiałymi zastrzeżeniami — niektóre deklaracje ideowe nowego tygodnika. Znacznie mniejsze zainteresowanie — i bez sympatii — budzą we mnie poglądy p. Hulewicza na sprawy kultury. Ponieważ jednak istota sporu posiadała niemały ciężar gatunkowy, sądzę, że uwagi na marginesie tej dyskusji mogą posiadać szersze znaczenie i daleko wybiegać poza aktualność zdarzenia.

Nie zamierzam streszczać przebiegu samej dyskusji. Zaznaczam tylko, że dostatecznie już znane „totalistyczne” stanowisko p. Hulewicza, które z taką pasją pragnie innym narzucić, spotkało się z bardzo — co warto podkreślić — kurtuazyjnie sformułowanym sprzeciwem redakcji „Obrony Kultury”. Z bardzo kurtuazyjnie sformulowanym, ale i niemniej stanowczym.

Uwagi, które poniżej zamieszczam, dotyczą bezpośrednio repliki p. Hulewicza, opublikowanej w nr. 5 „Obrony Kultury”, p. t. „W kołowym sporze zdobądźmy się na wspólny język”.

„Myślę — zwraca się na wstępie p. Hulewicz pod adresem swoich dyskutantów z katolickiego tygodnika, — że w ostatecznym wyniku jednak się porozumiemy. Naprawdę więcej nas łączy, niż dzieli... Chodzi właściwie o to głównie, aby ustalić, czy to, co nas dzieli, jest nie do przezwyciężenia, czy też przewyciężyć się da choćby tylko odpowiednią interpretacją. O tę interpretację właśnie chodzi, bo na nieścisłościach definicji często polegają nieporozumienia”.

Nie wiem, czy dojdzie do oczekiwanego przez p. Hulewicza porozumienia. Nie mam prawa wypowiadać się w imieniu współwyznawców ideowych „Obrony Kultury”. Mniemam jednak, jako uważny czytelnik tego pisma, że jego redakcji chodzi raczej o istotę zagadnienia kultury, a nie o taką lub inną definicję czy też kazuistyczną interpretację związanych z nią pojęć. W artykule p. t. „Odpowiadamy p. Jerzemu Hulewiczowi” (nr. 4 „Obrony Kultury”), redakcja wypowiedziała się dość jasno w sprawie owych „interpretatorskich” skłonności p. Hulewicza:

„Dajmy temu pokój. Ani „Kurjer Poranny”, ani „Obrona Kultury” nie są ogniskami filozofji, a wszelkie definjowanie jest wogóle i zawsze zawodne...”

Narazie mniejsza o to. Konieczne jest natomiast, aby p. Hulewicz przedewszystkiem dobrze — i to raz nazawsze — uprzytomnił sobie, że są w narodzie wybitne jednostki i grupy nie do zlekceważenia, z którymi p. Hulewicz i jemu podobni nigdy nie dojdą do porozumienia drogą narzucania im gwałtem „zainterepowanych” przez siebie pojęć kultury. I niech p. Hulewicz również raz nazawsze wyperswadowuje sobie tę zbyt wygodną dla niego „interpretację”, że te jednostki czy grupy to właśnie jest obóz, kierowany przez „obcy ośrodek dyspozycyjny”. Przeciwnie, musi pogodzić się z niezrozumiałym może dla niego, ale prostym faktem, że są to obywatele państwa i członkowie narodu, posiadający — jeśli często nie więcej — to co najmniej tyle praw do polskości, co i on sam. Wykluczenie ich poza nawias kultury narodu jest zatem przyjemną, ale niewykonalną mrzonką niepowołanego dysponenta dobrami, których nie nagromadził.

W dalszym swoim wywodzie p. Hulewicz, przywdziewając (czy nie za obszerną?) szatę filozofa, nieco arbitralnie zauważa:

„Twierdzą, że każde rozumowanie pojęciowe jest w pewnym stopniu ogniskiem filozoficznym. Jest to zresztą znanym nieodmaganiem właśnie polskich dysputantów współczesnych, że filozoficzne obowiązki myślenia zbyt luźno bywają obserwowane”.

Dobrze będzie rozejrzeć się tedy w rezultatach narzucenia sobie przez p. Hulewicza „filozoficznych” obowiązków myślenia — poznać go po owocach jego „pojęciowych” rozumowań.

Pisze p. Hulewicz: „Bo cóż to za prawda nowo objawiona: „Tam gdzie jest groźba — niema kultury”? Gdybyśmy to orzeczenie skonfrontowali z rzeczywistością historii świata...”

Następuje zupełnie niefilozoficzna demagogja: „Czy np. w kościele katolickim niema kultury, skoro jest groźba piekła? Czy „Beniowski” Słowackiego nie jest samą esencją kultury, mimo że najeżony jest groźbami? A „Improwizacja” Mickiewicza, pełna groźb, wprost od Boga skierowanych?”

I pośpiesznie wyciągnięty wniosek: „Zachodzi tu więc oczywista omyłka”.

Otóż rzeczywistość zachodzi tu omyłka — ale inna. Każdy wie, że w kościele katolickim jest kultura, ale wielkość jej nie opiera się na groźbie piekła. Prawdą jest, że „Beniowski” Słowackiego jest samą esencją kultury, ale nie dlatego, że jest najeżony groźbami. Wiemy, niestety, również, że jeśli p. Hulewicza koncepcja kultury jest pełna groźb, to nie groźb skierowanych od Boga. Wiemy wreszcie z doświadczenia innych narodów, jakim piekłem nam ona grozi. Ale o tem nieco później. Narazie cytujemy dalej:

„A mnie o to chodzi, by nasza kultura była tak potężna i świetna wobec sąsiadów, by była dla nich groźna, a nie by im groziła, jak dla całego świata jest oddawna kultura francuska groźna i miazdząca, czyli narzucająca swój wpływ przemożny”.

Przyjęto powszechnie odwieczne mniemanie, że siłą narzucająca jest tu atrakcyjność kultury, ta sama atrakcyjność, dla której — bez groźby i przymusu — kupuje się chętniej lepszy towar od gorszego. Trudno dostrzec, aby kultura Francji była dla kogokolwiek groźna (!), a tem mniej miazdząca (!). Domyślam się natomiast, że p. Hulewicz doszedł do tego dość oryginalnego stwierdzenia drogą fałszywej analogji pomiędzy sukcesami ofensywy kultury a sukcesami militarnymi. Stąd zapewne i ów sadyzyczny słownik. Niechajże p. Hulewicz znajdzie tu okazję do poczynienia wielce filozoficznych spostrzeżeń na temat niezręczności rozumowania „per analogiam”.

Powiada p. Hulewicz, że i Ateny Peryklesa „miały właśnie bardzo silny i wyłączny ośrodek dyspozycyjny w osobie dyktatorskiego „Komisarza Rzeczypospolitej Ateńskiej”, niejakiego Fidjasa, z zawodu rzeźbiarza, architekta i urbanisty...”. Może to i prawda, ale Fidjasz dysponował przede wszystkim własnym genjuszem, do czego nie rościł sobie chyba pretensji ani p. Hulewicz, ani nikt z jego ideowego otoczenia. To radzibyśmy p. Hulewiczowi uprzytomnić.

P. Hulewicz w swoich wywodach powołuje się na historyków starożytności. Śmiały powątpiewać, czy znajdzie się historyk — poważny historyk — któryby udowodnił, że zjawisko — fenomen, za jaki trzeba uważać Fidjasa, zrodził się naskutek zrealizowania przez Republikę Ateńską panahulewiczowej koncepcji organizowania kultury. A co nam ze zrealizowania tej koncepcji, jeśli w jej wyniku będziemy mieli „dyktatorskiego komisarza” p. Hulewicza, a nie Fidjasa? Ale my wiemy, w jakich warunkach nastąpił wspaniały rozwój kultury epoki peryklejskiej, i dlatego ten argument z Fidjaszem nas nie przekonana.

P. Hulewicz kwestjonuje dalej zdanie katolickiego czasopisma, że „tem, wrogiem kulturze, jest ciemnota i bieda”. „Ten truzim jednak — dla p. Hulewicza — staje się w swej racji podejrzany...”. Jako argument przytacza „rzeszę (przeważnie) kulturalnych poetów, artystów i naukowców w Polsce, prawie z reguły ludzi biednych, obok opływających w dostatki „zjadaczy chleba” i ostrych, bardziej oddalonych od jakiegokolwiek kultury, niż kmiotek, rzeżający koślawą figurynkę przydrożnego Jezuska”.

Banał w tej argumentacji walczy o lepsze z cynizmem. Prawda, że biedowanie nie od dziś jest ściśle związane z rangą pracownika kultury w Polsce. Dotychczas uważano to jednak za hańbiący serwitut niewoli, którego zniesienie jest w niepodległej Polsce pierwszym obowiązkiem czynników, mających powierzoną sobie troskę o rozwój kultury narodowej. P. Hulewicz chyba mógł przed wygłoszeniem tego osobliwego sądu zadać sobie pytanie, jak wyglądałaby twórczość owych ludzi „prawie z reguły biednych” w korzystniejszych nieco warunkach życia materialnego. Warto było także uświadomić sobie pierwaj, jakie to korzyści odniosła kultura polska z tylu przedwczesnych zgonów artystów-nędzarzy, zgonów w pełni sił twórczych. Obawiam się, że przyjęcie bez protestu argumentacji p. Hulewicza mogłoby sprowadzić w ostatecznej konsekwencji kulturę narodu do niepożądanego — mojem skromnym zdaniem — stanu kulturalnego „kmiotka rzeżającego koślawą figurynkę przydrożnego Jezuska”. Do takich więc wyników ma wieść nas przyjęty przez p. Hulewicza „system myślowy, wskazany przez kategorie filozoficzne”? Pięknie dziękujemy.

Skolei — jak powiada sam p. Hulewicz — wkroczyliśmy w medias res.

„Chcę — pisze on — ponosić pełną odpowiedzialność za każde przez siebie wygłoszone zdanie i dlatego proszę mi przytoczyć takie, które stwierdzają, że ja (będąc sam pisarzem i artystą) domagam się dla wienia twórczości. Proszę mi taki mój absurd udowodnić...”

Otóż owszem — bardzo chętnie. Przedtem jednak uwaga na marginesie. Że p. Hulewicz jest pisarzem, o tem, niestety, mamy okazję przekonywać się aż nazbyt często. Kwestję przyznania lub odmówienia mu wysokiej rangi artysty może jednak piękniej byłoby pozostawić skromnie innym. Ale in medias res!

I oto o kilkanaście wierszy dalej czytamy w artykule p. Hulewicza: „Dla uniknięcia jednak wszelkiej między nami niejasności stwierdzam, że nie jestem zwolennikiem nieograniczonej swobody tworzenia, bo nie chcę być ani społecznym, ani państwowym idjotą”.

Powściągnijmy świerzbie języka i narazie tylko cytujmy: „Domagam się nie tylko bezwzględniego skrepowania, ale i zupełnej niewoli tam, gdzie twórczość literacka czy artystyczna zużyta ma być przez obce agencje i w indywidualnym wrocie przeciw narodowi i państwu polskiemu”.

Po chłodnej rozprawie można i należałoby podpisać się obu rękami pod ostatnio przytoczonym postulatem p. Hulewicza. Ale p. Hulewicz nie ogranicza się do

tego — słusznego w zasadzie — żądania. Nie. On, wkraczając w kompetencje prokuratorskie, pochopnie oskarża:

„Podejmując też walkę przeciw „obcemu ośrodkowi dyspozycyjnemu”, ustanawiającemu od lat kilkunastu hierarchję wartości i osadów literackich („Wiadomości Literackie” i ich podrzutek „Sygnały”), nie życząc sobie...” i t. d. Poczem następuje o „żydach”.

P. Hulewicz uzurpuje sobie prawo do roli, jaką mają do odegrania właściwe czynniki państwowe. Przed sformulowaniem, które brzmi jak ciężkie oskarżenie, niechaj się bronią, niech przeciw niemu protestują zaatakowane redakcje. Ja nie przemilczałbym tej sprawy. W tej chwili jednak nie interesuje mnie ona personalnie, ale zasadniczo. Kwestja niewątpliwie należy do kategorii subtelnych, t. zw. „cienkich” zagadnień. Zanalizujmy ją preto jak najdelikatniej, jak najbardziej drobniawo.

P. Hulewicz powiada: „ja należę do tych, którzy wolność twórczą ograniczają względami polskiej racji stanu, jak również względami etycznymi...”

Jednak przyjęcie nawet tej zasady nie usuwa poważnych obiekcyj. Gdyby bowiem możliwe było istnienie jakiejś raz nazawsze sprecyzowanej „racji stanu” i jakiejś raz nazawsze ustalonej etyki — powszechnie obowiązujących — wszelkie obiekcje i zastrzeżenia natychmiastby automatycznie odpadły. Wiemy jednak, że etyka podlega nieustannej ewolucji, że w zakresie norm etycznych nie obywają się bez zmian, decydujących o postępie lub regresji. Co zaś do „racji stanu” narodu czy państwa, to też wiemy dobrze, że nawet najwięksi z powszechnie uznanych patriotów i mężów stanu niezawsze byli zgodni w sposobie jej sformułowania. Niezależnie od tego „racja stanu” również ulega ewolucji. Np. z tymi „żydami”. P. Hulewicz chce ich dziś koniecznie i bezwzględnie „wyeliminować”, a był ktoś kiedyś, kto ich importował i mimo to zyskał sobie przydomek „Wielkiego”. Bo wtedy to wydawało się racją stanu. Sprawa zatem nie jest taka prosta i może nawet nie należałoby jej samemu tak arbitralnie przesądzać?

Kto czy co zatem ma decydować? Chyba nie p. Hulewicz, jak to uczynił z „Wiadomościami Literackimi” i „Sygnałami”? Bo przyjąwszy taką zasadę indywidualnego rozstrzygnięcia, mógłby przecież i p. Hulewicz narazić się na „likwidację” w imię inaczej pojętej przez kogoś „racji stanu”. A ja jestem przeciw temu. I przeciw uzurpatorskiemu dyktatorstwu.

P. Hulewicz, o ile się orientuje, proponuje „ośrodek dyspozycyjny”. W tym „ośrodku dyspozycyjnym”, należy się domyślać, musieliby siedzieć ludzie, którzy kierowaliby rozwojem kultury wedle aktualnie obowiązujących norm etycznych i aktualnie obowiązującej, oficjalnej racji stanu. Nie wiem, czy wogóle można popędzać rozwój kultury bieżących wymagań państwowych. Ostatecznie zresztą państwo to tylko forma organizacyjna, w której się mieści życie narodu, kierowane zawsze przez wiele „ośrodków dyspozycyjnych”. W t. zw. państwach totalnych — nie wiem, czy napewno jest — ale rości sobie pretensje do tego, żeby być jedynym „ośrodkiem dyspozycyjnym” rząd, czy ściślej nawet — wódz. Ale rządy i wodzowie zmieniają się w kole dziejów, a kultura narodu ma trwać. Bo to niby „dłużej klasztor, niż przeora”.

Przyjęcie aktualnie obowiązujących norm jako zasad kierowniczych i bezwzględne ich stosowanie, to przecież w ostatecznych skutkach równie bezwzględne zahamowanie jakiegokolwiek postępu. To pozatem groźna istotnie megalomanja ewentualnych „dysponentów”, każąca im wierzyć, że do nich rzeczywistość należy ostatnie słowo w sprawie rozwoju kultury narodu. I co za odpowiedzialność?!

Proszę mi wierzyć, że te obiekcje nie rodzą się z przekornej chęci walki z państwem na terenie narodowej kultury. Ani nie są to owe „zakusy elementów obcych, próbujących uparcie czynić nam dywersję pod dymną zastoną kultury”. To — niech mi raz będzie wolno użyć wielkich słów — „veto ducha” przeciw koncepcjom organizowania kultury narodu właśnie wbrew duchowi narodu.

W numerze 49 (788) zdyskryminowanych przez p. Hulewicza „Wiadomości Literackich” zamieszcza świetny pisarz Jan Parandowski „Myśli o kulturze”. Niechże p. Hulewicz uczyni raz wyjątek i bez zgóry powziętych uprzedzeń wobec „żydowskiego” tygodnika przeczyta, co napisał doskonale znawca rozwoju kultury europejskiej. Może wreszcie się dowie czegoś rzetelnego o tradycjach kultury polskiej — i w czem leżą gwarancje jej wielkości.

Parandowski jest rzeczywistym artystą i nie ma powodów do rekompensowania sobie doznanego zawodu przez „odgrywanie się” na innych przy okazji dysputy nad zagadnieniem kultury. Dlatego — mimo że nie usiłuje nikogo kokietować przesadną troską o jej losy — tyle w jego wypowiedzi czystego, szlachetnego tonu, do którego, niestety, daleko p. Jerzemu Hulewiczowi. Jego język — próbkami mieliśmy okazję przedstawić — nigdy nie będzie naszym wspólnym językiem.

BRUNO SCHULZ

O J C Z Y Z N A *)

Po wielu perypetjach i zmiennych kolejach losu, których nie zamierzam tu opisywać, znalazłem się wreszcie zagranicą, w kraju w marzeniach mej młodości gorąco utęsknionym. Spełnienie długich marzeń przyszło zapóźno i w okolicznościach zgoła odmiennych od tych, które sobie uroiłem. Wkraczałem tam nie jako zwycięzca, ale jako rozbitek życiowy. Kraj ten wyobrażony jako scenarja moich triumfów, był teraz terenem nędznych, niesławnych, małych klęsk, w których traciłem jedną po drugiej moje górne i dumne aspiracje. Walczyłem już tylko o nagie życie i skołatany, ratując jak mogłem, nędzną lupinkę przed rozbitkiem, pędzony przez zmienne koleje losu to tu, to tam, natknąłem wreszcie na to średniej wielkości miasto prowincjonalne, w którym, w moich młodzieńczych marzeniach miała stać owa willa, refugium starego i sławnego mistrza przed zgiełkiem świata. Nie dostrzegając nawet ironji losu, tkwiącej w zbiegu wypadków, zamierzałem teraz zatrzymać się tam czas jakiś, przycupnąć gdzieś, przezimować, być może, aż do następnego podmuchu zdarzeń. Było mi wszystko jedno, gdzie mnie losy zaniosą. Urok kraju zgasił dla mnie bezpowrotnie, znękanym i zbiedzonym pragnąłem już tylko spokoju.

Stało się jednak inaczej. Doszedłem widocznie do jakiegoś punktu zwrotnego mojej drogi, do osobliwego zakrętu mego losu, egzystencja moja zaczęła się niespodzianie stabilizować. Doznałem uczucia, jakim wreszcie wszedł w jakiś prąd pomyślny. Wszędzie, gdzie zwracałem się, zastawałem sytuację jakgdyby przygotowaną dla mnie, ludzie odrywali się natychmiast od swych zajęć, jakgdyby na mnie czekali, dostrzegając ten bezwiedny błysk uwagi w ich oczach, że natychmiastową decyzją, gotowość do służenia mi, jakby pod dyktando jakiejś wyższej instancji. Było to naturalnie złudzenie, wywołane tem sprawnym składaniem się okoliczności, tem zręcznym wiązaniem się członów mego losu pod sprawnymi palcami przypadku, który prowadził mnie jakby w lunatycznym transie od zdarzenia do zdarzenia. Nie było niemal czasu na zdziwienie, wraz z tą pomyślną passą moich losów przyszedł zarazem jakiś pogodzony fatalizm, jakaś błoga bierność i ufność, która kazała mi poddać się bez oporu grawitacji wypadków. Zaledwie odczułem to jako zadośćuczynienie długo niezaspokajanej potrzeby, jako głębokie nasycenie wiecznego głodu odrąbanego i nieuznanego artysty, że tu wreszcie poznano się na moich zdolnościach. Z grajka kawiarnianego, szukającego byle jakiej pracy, awansowałem szybko na pierwszego skrzypka opery miejskiej; otworzyły się przede mną rozmiłowane w sztuce, ekskluzywne koła, wszedłem jakby na podstawie dawno nabytego prawa w najlepsze towarzystwo, ja, który przebywałem dotychczas nawpół w podziemnym świecie egzystencji zdeklasowanych, pasażerów na gapę, pod pokładem nawy społecznej. Legalizowały się szybko, wchodziły same przez się w życie aspiracje, które jako tłumione i buntownicze uroszczenia wiodły w głębi mej duszy żywot podziemny i dręczący. Piętno uzurpacji i daremnej pretensji spłynęło z mego czoła.

Wszystko to relacjonuję w skróconym trybie, niejako pod aspektem generalnej linii mego losu, bez zapuszczania się w szczegółowy tej dziwnej kariery, gdyż wszystkie te wypadki należą właściwie do prehistorji zdarzeń tu opowiedzianych. Nie, szczęście moje nie miało zgoła nic z ekscesu i wyuzdania, jakby można było przypuszczać. Owładnęło mną tylko uczucie głębokiego spokoju i pewności, znak, po którym — wyczułony przez życie na wszystkie drgnienia jego twarzy, doświadczony fizjonomista losu — poznałem z głęboką ulgą, że tym razem nie ukrywa on przede mną żadnych podstępnych zamiarów. Jakość mego szczęścia była z gatunku trwałych i rzetelnych.

Cała moja przeszłość tulacza i bezdomna, podziemna nędza mojej przeszłej egzystencji oderwała się ode mnie i leciała wstecz, jak połać kraju, przechylona ukośnie w promieniach zachodzącego słońca, jeszcze raz wynurzona nad późne horyzonty, podczas gdy unoszący mnie pociąg, biorąc ostatnią krzywiznę, nisłó mnie stromo w noc, mając pełne piersi bijącej mu w twarz przyszłości, tęgiej, upojnej, trochę dymem zaprawionej przyszłości. Tu jest miejsce, bym wspomniał o najważniejszym fakcie, który zamknął i ukoronował tę epokę pomyślności i szczęścia, o Elizie, którą spotkałem w owym czasie na mej drodze i którą po krótkim, upojnym narzeczeństwie pojąłem za żonę.

Rachunek mego szczęścia jest zamknięty i pełny. Moje stanowisko w operze jest niewzruszone. Dyrygent orkiestry filharmonicznej, pan Pellegrini cenil mnie i zasięga mojej opinji we wszystkich decydujących kwestiach. Jest to staruszek, stojący na progu swej emerytury i jest rzeczą pochodu ukartowaną między nim, kuratorją opery, a towarzystwem muzycznym miasta, że po jego ustąpieniu laseczka dyrygenta przejdzie bez wszelkich ceregieli w moje ręce. Dzierżyłem ją już nieraz w mych rękach, bądźto dyrygując niezawodnie koncerty filharmonji, bądźto w operze w zastępstwie chorego mistrza, lub gdy dobry staruszek

nie czuł się na siłach sprostać obcej mu duchem, nowej i modnej partyturze.

Opera należy do najlepiej uposażonych w kraju. Gaża moja wystarcza zupełnie na życie w atmosferze dobrobytu, niepozbawionego pożytku pewnego zbytku. Parę pokoi, które zamieszkuje, urządziła Eliza według swojego smaku, gdyż co do mnie, jestem pozbawiony wszelkich życzeń i zgoła bez inicjatywy w tym kierunku. Zato Eliza ma bardzo zdecydowane, choć wciąż zmieniające się dezyderaty, które realizuje z energią godną lepszej sprawy. Wciąż jest w pertraktacjach z dostawcami, walczy dzielnie o jakość towaru, o cenę i osiąga też na tem polu sukcesy, z których nie mało jest dumna. Na jej zabiegliwość patrzę z pobłażliwą czułością i zarazem z pewną obawą, jak na dziecko bawiące się lekkomyślnie nad brzegiem przepaści. Co za naiwność mniemać, że walcząc o tysiąc drobnotek naszego życia, kształtujemy nasz los!

Ja, który szczęśliwie zawinąłem w tę spokojną zatokę — chciałbym już tylko usnąć jego czujność, nie rzucić mu się w oczy, przyłączyć niepostrzeżenie do mego szczęścia i stać się niedostrzegalnym.

Miasto, w którym los pozwolił mi znaleźć przystań tak spokojną i błogą, sławne jest ze swojej starej, czcigodnej katedry, położonej na wysokiej platformie nieco odosobnionej na skraju domów. Tu miasto kończy się raptownie, opada stromo bastionami i szkarpami, zalesionemi gajami norwy i orzecha włoskiego, otwiera się widok na kraj daleki. Jest to ostatnie, zanikające wzniesienie wyżynnego masywu kredowego, strażujące nad rozległą i jasną równiną prowincji, otwartą na całej szerokości na ciepłe powiewy zachodu. Wystawione na łagodny ten przepływ miasto zamknęło się w słodkim i cichym klimacie, tworzącym jakby własny, miniaturowy obieg meteorologiczny w obrębie większego, ogólnego. Przez rok cały wieją tu ledwo wyczuwalne, łagodne prądy powietrzne, które pod jesień przechodzą znowa w jeden tok niestanny i miodyplny, w rodzaj jasnego, atmosferycznego golfstromu, w wianie powszechnie i monotonne, słodkie aż do wymazania pamięci i aż do błędnego zaniku.

Katedra cyzelowana w ciągu wieków w kosztownym mroku swych witraży, mnożonych bez końca, ciulanych przez pokolenia z klejnotów zaszczytanych na klejnotach, przyciąga teraz rzesze turystów z całego świata. O każdej porze roku można ich widzieć z Baedekerami w ręku zbiegających nasze ulice. Oni to zamieszkują w lwiej części nasze hotele, przeszukują nasze sklepy i antykwarnie za osobliwościami i wypełniają nasze lokale rozrywkowe. Przynoszą oni z dalekiego świata zapach morza, niekiedy połot wielkich projektów, szeroki rozmach interesów. Zdarza się, że oczarowani klimatem, katedrą, tempem życia, osiedlają się tu na dłużej, aklimatyzują się i zostają już nazawsze. Inni, wyjeżdżając, wywożą ze sobą stąd żony, nadobne córki naszych kupców, fabrykantów, restauratorów. Dzieki tym wężom obcy kapitał bywa często króć inwestowany w naszych przedsiębiorstwach i zasila nasz przemysł.

Życie gospodarze miasta przebiega zresztą od lat bez wstrząsów i kryzysów. Silnie rozwinięty przemysł cukrowniczy żywi z swej słodkiej arterji trzy czwarte mieszkańców. Prócz tego miasto posiada sławną fabrykę porcelany o pięknej, starej tradycji. Pracuje ona na eksport, a prócz tego każdy Anglik wracający do swego kraju uważa sobie za punkt honoru zamówić jeden z tych serwisów o tyłu i tyłu sztukach porcelany koloru kości słoniowej z widokami katedry i miasta, wykonanemi przez uczenie naszej szkoły artystycznej.

Zresztą jest to miasto jak wiele innych w tym kraju dostatanie i dobrze zagospodarowane — w miarę zabiegliwe i oddane interesom, w miarę zamilowane w komforcie i mieszczańskim dobrobycie, w miarę też ambitne i snobistyczne. Damy rozwijają pewien niemal wielkomięski zbytek w toaletach, panowie nasładowały tryb życia stolicy, podtrzymując z wysiłkiem przy pomocy paru kabaretów i klubów rodzaj niclego, nocnego życia. Gra w karty kwitnie. Hołdują jej nawet damy i niema niemal wieczoru, żebyśmy i my nie kończyli dnia w którymś z eleganckich domów naszych przyjaciół przy grze, przeciagającej się nieraz głęboko w noc. Inicjatywa znowu przypada w tej mierze Elizie, która usprawiedliwia swą pasję przede mną troską o nasz prestige towarzyski, wymagający częstego bywania w świecie, ażeby nie wypaść z obiegu, w istocie zaś ulega ona urokowi tego beznymnego i lekko podniecającego trwonienia czasu.

Obserwuję ją nieraz, jak podniecona grą, z wypiekami na twarzy i blyszczącymi oczyma bierze całą duszą udział w zmiennych perypetjach hazardu. Lampa rozlewa spod abażuru łagodne światło na stół, dookoła którego grupa ludzi głęboko zaabsorbowana nad wachlarzem kart, trzymanym w dłoni odbywa imaginacyjny pościg za złudnym śladem fortuny. Widzę ją niemal, uludną postać, wywołaną napięciem sensu i zjawioną niemal dostrzegalnie za plecami tego lub owego. Cisza jest, padają półgłose słowa, znaczące, zmienne i kręte szlaki szczęścia. Co do mnie, to czekam na chwilę, kiedy cichy i żarliwy trans ogarnia wszystkie umysły, kiedy zbywszy pamięci, znie-

ruchomieją, pochyleni kataleptycznie, jak nad wirującym stolikiem, ażeby wycofać się niepostrzeżenie z tego zaklętego kręgu i usunąć się w samotność mych myśli. Czasem, wysiadłszy z gry, mogę bez zwrócenia czyjkolwiek uwagi opuścić stół i przejść pochodu do drugiego pokoju. Ciemno tam jest, tylko latarnia uliczna przysyła zdalną swe światło. Z głową opartą o szybę okna stoję tak przez długą chwilę i dumam...

Nad jesienią gestwiną parku noc rozjaśnia się niewyraźnie czerwonawym braskiem. W spustoszonej gęstwinie drzew spłoszone wrony budzą się z nieprzytomnym krakaniem, zmylone symptomami tego fałszywego światła, zrywają się tłumnie i hałaśliwie i jękiwo to i krążące bezholowie napienia zgiełkiem i falowaniem rudawą ciemność, pełną gorzkiego aromatu herbaty i lejących liści. Zwolna osiada i uspokaja się ten rozłopotany na cale niebo rozgardzając krążę i lotów, opada zwolna i obsadza przerzedzoną gestwinę drzew niespokojną, przewidywaną czeredą, pełną niepokoju, millnackich rozmów, jękiwych zapytań i uspokaja się powoli, sadowić się na dobre i jednocząc się zwolna z ciszą tego szelstnego wędwienia. I znowu instaluje się noc głęboka i późna. Godziny mijają. Z gorącym czołem, przyciśniętym do szyby czuję i wiem: Nic złego nie może mi się już przydarzyć, znalazłem przystań i spokój. Nadejdzie teraz długi szereg lat ciężkich od szczęścia i sytych, nieskończony ciąg dobrych i błogich czasów. W ostatnich kilku płytkich i słodkich westchnieniach pierś moja napelnia się po brzegi szczęściem. Przystaję od dycha. Wiem: tak jak życie całe — przyjmie mnie kiedyś śmierć w otwarte ramiona, pożywna i syta. Będę leżał do dna nasycony wśród zieleni na pięknym, pielęgowanym

ementarzu tutejszym. Moja żona — jak pięknie będzie ją stroił wdowi welon — przynosić mi będzie kwiaty w jasne i ciche przedpołudnie tutejsze. Z dna tej pełni bez granic wstaje jakgdyby żęłka i głęboka muzyka, żalobne, uroczyste, głuche taktory majestatem uwertury. Czuję potężne uderzenia rytmu, rosnące z głębi. Z podniesionemi brwiami, wpatrzony w punkt daleki, czuję, jak włosy powstają mi zwolna na głowie. Sztynnieją i słucham...

Głośniejszy gwar rozmów budzi mnie z odrętwienia. Dopytują się o mnie wśród śmiechów. Słyszę głos mojej żony. Powracam z mego azylu do oświetlonego pokoju, mrużąc oczy napojone ciemności. Towarzystwo rozchodzi się już. Gospodarze stoją w drzwiach, rozmawiają z odchodzącymi, wymieniają pożegnane grzeczności. Wreszcie jesteście sami na nocnej ulicy. Moja żona dostosowuje swój elastyczny, swobodny krok do moich kroków. Zgadamy się dobrze w chodzie i idąc w górę ulicy, z głową nieco opuszczoną roztrąca ona nogą szelstny kobieriec zwiędłych liści, zalegających jezdnie. Jest ożywiona grą, szczęściem, które dopisało, wypitem winem i pełna małych, kobiecych projektów. Na podławie milczącej konwencji domaga się absolutnej tolerancji z mojej strony dla tych nieodpowiedzialnych rojei i bierze mi bardzo za złe wszelkie trzeźwe i krytyczne uwagi. Zielona smuga światła widnieje już nad ciemnym horyzontem, gdy wchodzimy do naszego mieszkanka. Owiewa nas dobry zapach ogrzanego i pielęgowanego wnętrza. Nie zapalamy światła. Daleka latarnia uliczna rysuje srebrny deseń firanek na przeciwległej ścianie. Siedząc na łóżku w ubraniu, biorę w milczeniu rękę Elizy i trzymam ją przez chwilę w mojej.

LECH PIWOWAR

NOTA DO KRYTYKÓW

1

Sytuacja tak zwanego krytyka w naszej młodej literaturze jest wyjątkowo trudna. Konkurencją z nim wygrał przedewszystkiem feljetonista mniej lub więcej niedzielnym. Krytyk potrzebuje dwu rzeczy: odpowiednio obfitego miejsca, aby móc wyłożyć swe dowody i racje, i odpowiednio wyrobionych czytelników, aby nie brano go za nudziarza. Poważny krytyk, który reprezentuje jakiś istotny i pogłębiony pogląd na sprawy literackie, nie może się, to trudno, wypowiedzieć dokładnie w stu wierszach druku. Aby zreferować jakiegoś zjawisko literackie, musi się rozpedzić, nie wystarczy mu opowiedzenie t. zw. „treści“, jeśli np. ma do czynienia z powieścią, nie zaspokoi go powiedzenie kilku ładnych ogólników, jeśli bierze się za tom poezji. Krytyk, o ile ma być równocześnie pisarzem, a nie recenzentem, musi określić swoje stanowisko ideowe, wyjawić wyraźnie miary, jakie chce przyłożyć do tego czy innego faktu literackiego, musi przedstawić system wartości, tak szczerzy, żeby przezeń nie przeciekały jak woda co trudniejsze zagadnienia.

Wystarczy przejrzyć kilka kolejnych numerów niemal każdego naszego pisma literackiego, aby zrozumieć, że krytyk - pisarz jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Od wielu już lat nie widziało się u nas żadnego poważniejszego sporu między krytykami, sporu o jakiegoś wartości, nie o osoby, nie widziało się walki poglądów, dyskusji ogólnej, teoretycznej.

Ten stan rzeczy, niesłychanie niezdrowy i zatrważający, odbija się plastycznie nie tylko na charakterze i stylu krytyki; krytyka, która zrezygnowała z walki o własne, wysokie pozycje ideowe, przestała cenić i oceniać takie pozycje u pisarzy, przestała wymagać od nich sprecyzowanych stanowisk, mierzyła ich systemem wartości, w którym nie świeciła żadna większa gwiazda.

Jeżeli z tego powodu były jakieś niezadowolone, to były to niezadowolone samych pisarzy. Krytyka nasza nie notuje jeszcze zniżki na własnej giełdzie, gdzie się reklamuje powieści, poezje, dramaty, ponieważ ta zniżka to także jej „sukces“.

Czy czytał kto w ostatnich latach jakąś książkę wydaną przez młodego krytyka? Ja wiem, powiedział: wydawcy nie idą na takie książki. Ale czyby nie poszli? Gdyby te książki były! Książki składane z feljetonów to nie jest sprawa, o którą chodzi. Chodzi o książki, które miały być książkami już przy pisaniu, o takie książki, które są dziełami jakiegoś kształtującej myśli, efektem jakiegoś całej, zorganizowanej pracy literackiej. Może takie książki znalazłyby i wydawców i czytelników? Ponieważ nie było ich tak długo, można sądzić, że znowu są potrzebne. Feljetony wypchane dowcipem i zatławiające sto spraw w stu wierszach już się stanowczo przeżyły. Jako gatunek książki, są nawet coraz rzadsze. I coraz gorsze! Chcielibyśmy znowu książek, złożonych naprawdę z artykułów krytycznych, z rozpraw, ze studjów, oświetlających niewiele spraw, ale oświetlających je mocno i głęboko. Urodzaj na koniki polne w krytyce jest już skończony, musi nadejść czas traktorów. Niech sobie będą ciężkie („nudne piły“) ale niech orzą!

2

Krytyk dwoma sposobami zostaje pisarzem. Albo pisze nietylko „krytyki“, t. zn. pisze nietylko o literaturze, ale również literaturę, jest równocześnie powieściopisarzem, poetą, dramaturgiem, który szerokością frontu, mnogością zainteresowań stwarza to co nazywamy osobistością pisarską.

Bo niezawsze — jak mówi się przysłowio-wo — krytyk jest nieudany poeta czy powieściopisarzem. Czasami zdarza się, że bywa kimś twórczym w kilku dziedzinach. Wtedy taki krytyk przedstawia różnorodność doświadczeń literackich; jeżeli pisze o poezji, to pisze o własnych przypadkach duchowych, o przeżyciach z pierwszej ręki, jeżeli pisze o powieści, to dlatego, że to jest jego sprawa, że chce tutaj coś zatłwić, zmienić czy wyjaśnić, walczy o jakiś „ideał“ — według niego — poezji, powieści, dramatu. Krytyka jest dla niego obro- ną własnego istnienia artystycznego, a to już wymaga precyzowania racji, dowodzenia słuszności swych „doświadczeń“.

Albo też — krytyk staje się pisarzem rozbudowując własny warsztat teoretyczny, opracowując „program“, stwarzając „doktrynę“. Koncentruje wtedy wszystkie zainteresowania wyłączenie na „krytyce“, ale daje jej sens ideologiczny. Wyształca sobie metodę badania dzieł literackich, pogłębia sądy o wartościach artystycznych, traktowanych jako przedmioty obserwacji, wprowadza w swą pracę filozofję, socjologję, albo też uzasadnia program badania literatury zupełnie autonomicznymi sposobami, będzie „formalistą“, opracuje „teorię czystej formy“ czy coś w tym rodzaju. Taki krytyk będzie nudny, nudniejszy, niż typ pierwszy, ale na to niema rady, on nie może być rozrywkowy. To jest bardzo poważna sprawa, taka krytyka, to już właściwie teoria literatury, i człowiek, który to rozumie nie potrafi zatłwić żadnej sprawy dowcipem czy aforyzmem. Jego książki, jego artykuły wymagają uwagi i wysiłku czytelnika, nie oddadzą swych skarbowi zadarmo. Takiego trzeba poznać dokładnie, cd deski do deski, żeby zrozumieć pisarza, a nietylko zobaczyć krytyka - reklamiarza. Bo jego sąd o tym czy innym szcegole, o tym czy innym pisarzu albo książce nie jest wszystkim. Tu się mówi o literaturze, nie o książkach! Książki i sąd nad nimi to ma być jedynie ilustracja jakiejś tezy, przeprowadzenie dowodu na konkretnym przykładzie. Przyjemność z takiego krytyka ma się przedewszystkiem w obcowaniu z ideami. Nie jest to łatwe! Bo idee to nie to samo co hasła. Hasłami będzie się zajmował raczej ten pierwszy typ krytyka - pisarza.

3

To są nietylko określenia. To także wymagania. Napozór proste, a jednak nie wiadać „przerostu“ takich krytyków, którzyby je spełniali. Książek, któreby powstały w ogniu takich wymagań, nie miewa nasz czytelnik w rękach co miesiąc. Nie miewa ich co rok. Nie miał ich już od lat.

A wszystko to są objawy „nieruchomości“ życia umysłowego naszej młodej literatury, odzgnęjącej się gorąco od „doktryny“ i duszącej zapamiętałe „doktryny“.

Ach, zaduście każdego poetę posiadzonego o „intelektualizm“, umacniają się w błogiem oczarowaniu, że „ważniejszy jest jeden wiersz, niż dziesięć teorii“, twierdząc sobie, że piszecie zawsze „przeciw teorii“!

Jeśli będziecie „żagarystami“ niech wam się „ważniejsi“ wydadzą Miłosz i Zagórski, niż Małiński; jeśli będziecie awangardowali, niech wam się „lirykiem“ wyda Czechowicz, nie Peiper; jeśli będziecie lirycznym amantem z „Pióra“ albo konjunkturantem z „Apelu“, niech wam się marzy, że „nowoczesność“ i „racjonalizm“ to brednie! W rezultacie napodzi się autentystów jak szeszurów!

Ale potem, zapewniam, nagle szczury zaczną uciekać.

*) Fragment większej całości.

ŚWIAT ANTYCZNY

Wydane ostatnio „Cesarstwo rzymskie“ zamyka obszerny cykl popularyzatorski prof. T. Zielińskiego na temat świata antycznego, obejmujący tę kilkunastowiekową przestrzeń kultury i historii śródziemnomorskiej, którą tradycja klasyfikacyjna zalicza do starożytności klasycznej. Ten ostatni termin, zwłaszcza w zastosowaniu do Grecji, był jako ujęcie atawistycznie emocjonalne przez wiele dziesiątków lat złym duchem badań naukowych nad antykiem i straszyl w filologii niemieckiej jeszcze w drugiej połowie XIX w. W świeżo wydanej książce p. t. „Griechentum und Goethezeit“ Walther Rehm zajmuje się ciekawym problemem „historji pewnej wiary“, stawiającej — jak to właśnie miało miejsce za czasów Winckelmanna, Goethego, Hölderlina — Grecję w ponadhistorycznym odosobnieniu, czyniącym z bardziej od innych niespokojnego duchowo narodu, umiejscowionego na tle następstwa konkretnych wydarzeń: nieszczęść i radości, nieomal idealny utwór wierszowany. Dodajmy, że należy tu odróżnić poetycki obraz starożytności, będący zazwyczaj głównym wyrazem sądów danej epoki o życiu, a nadmierny wpływ tego obrazu na kształtowanie się tendencji naukowej w badaniach nad starożytnością. O ile pierwszy element ma charakter twórczy, gdyż na nowo komponuje zastane elementy rzeczywistości kulturalnej, o tyle drugi jest destrukcyjny, gdyż fałszuje rzeczywistość realną, należy jednak z terminu „destrukcyjny“ wyłączyć ujemną ocenę ety-

*) Tadeusz Zieliński. Świat antyczny. Część czwarta. Cesarstwo rzymskie. Warszawa, J. Mortkowicz, 1938; str. 536 i tabl. 22.

czną, skoro tendencja wynika nie z wyboru, lecz z tradycji. Całkowicie i na wzór pejzaży Claude Lorrain'a idealizująca starożytność tendencja występuje jaskrawo jeszcze u Ernesta Curtiusa (1814—1896), którego historia grecka opromienia hellenizmem niemal bengalskim blaskiem. A były to już czasy Mommsena, jego heroicznego, jak na zamilowanego filologa, drobiazgowości w druzgotaniu pięknej tradycji historycznej: jego „Römische Geschichte“. Czasy gdy jeden z najsympatyczniejszych filologów niemieckich, Erwin Rohde, wypowiada (r. 1882) słowa, przez które prześwieca już nietscheańskie pojmowanie człowieka historycznego: „Przeżywam w sobie samym i równoważnie w moich wykładach uniwersyteckich powolną przemianę estetycznego i absolutnego wartościowania starożytności na historyczne i relatywne...: prawie nie żałuję tego, że osobiście zacząłem działalność od starożytności, estetycznego wartościowania, lecz teraz muszę po kawalku zrzucić starą skórę; dokonywa tego żmudna praca“.

Prof. Zieliński, który wychowywał się jako uczonej w atmosferze przemijających legend naukowych o antyku, nie zachował z nich nic oprócz humanistycznego uwielbienia, uwarunkowanego jednak jakością skrupulatnie badanych faktów i epok — historycznych i kulturalnych. Z ogólnej postawy pietystycznej wobec starożytności, a jeszcze bardziej z oświeconego katolicyzmu autora zdaje się wynikać lekka tendencja moralizatorska, żywo pod tym względem przypominająca w tonie prace świetnej pamięci prof. Kazimierza Morawskiego. Przy bogactwie wątków narratorskich, rozsiąanych w czterech, pokaźnej objętości tomach, nie

brakuje sposobności do wydobywania i ustalenia w pełnym świetle heroicznego postaci historii greckiej i rzymskiej, opierających się — jak August Oktawian lub Arria — dostatecznie rewizjonizmowi wszystkich czasów: stąd morał ma zazwyczaj charakter kompozycyjnego podkreślenia samego faktu.

Koncepcyj nowych, nieznanych nam z poprzedniej działalności naukowej prof. Zielińskiego, w cyklu o świecie antycznym nie spotykamy. Jest to przecież, jak zaznaczyliśmy na początku, dzieło raczej popularyzatorskie, ze szlachetnym i przejrzystym tonem narracji, zagarniającej mądrym stylem historję właściwą, piękne anegdoty historyczne i kulturę. Wierzyć należy, że spełni ono swą rolę dydaktyczną, lepiej nadając się do społecznego obiegu niż za trudne dla znamionujących naszą epokę oświeconych dyletantów, nieosiągalne zresztą finansowo „Grecja“ profesorów: Walka-Czerneckiego i Witkowskiego oraz „Rzym“ prof. Piotrowicza.

Adolf Sowiński

Wiersze Sowińskiego

W najbliższym czasie ukaże się nakładem J. Mortkowicza tom poezji Adolfa Sowińskiego „Gospoda zmierzchu“. Wyjmuje z niego wiersz „Do protoplasty“.

Zamieszkał w twoim dworze kiedy bujna (zima zamiecie okien stroi w ścięte mrozem ziola. Spłynęły dni jak lody, drzewa pomrok (wzdyma, nastały dzieje szumów. Już północ. Kur (wola.

Po grudzie grają kroki. Wiem, że strzeżesz (dworu. Zadumy twoje żyją w nim jak pokolenia. Jednak nad lipami włada wiatr z ugoru. Minęły tylko lata. Życie nic nie zmienia.

Jednak niema miary innej prócz początku dla szczęścia. Dzień nam każdy jak płaszcz (z ramion spada. Plon schnie by gumna twoje cieszył szmer (użatku. Zamieszkał w twoim dworze. I śnieg nie- (chaj pada.

* * *

W poprzednim (58) numerze „Sygnałów“ z dnia 1 grudnia: Paweł Hulka-Laskowski: Zgroza kompleksu niższości. — Michał Kolcow: Listopad Madrytu (cz. II). — Konstanty Anselm: Chcemy żyć z pracy. — Guillaume Apollinaire: 14 czerwiec. Więzy (przełożył Lech Piwowar). Zwycięstwo (przełożyła Wanda Markiewiczówna). — Marjan Promiński: Słupy ogniste. — Jerzy Putrament: Wśród nowych powieści polskich. — Paweł Konrad: Czy faszizm jest międzynarodowy? — Jerzy Bossak: Sprawy filmowe. — Leon Strakun: X Salon I. P. S. — Paweł Hulka-Laskowski: Dzieje rodziny Whiteoaków. — Konfiskata „Sygnałów“. — Korespondencja (Marjan Promiński, J. Zylberman). — Spectator: Warszawski sezon teatralny. — 8 stron. — 9 ilustracji.

JAK UPRZYJEMNIĆ GWIAZDKĘ NAJBLIŻSZYM?

KSIĄŻKI DLA MŁODZIEŻY

A. ŻABIŃSKA:

Dżolly i S-ka zł. 5.—
Historja hjenki z warszawskiego Zoo, pięknie ilustrowaną przez Maię Berezowską.

J. PARANDOWSKI:

Trzy znaki Zdjaku zł. 5.— opr. 7.—
Cykl opowiadań z dziejów ludzkości.

M. KUNCEWICZOWA:

Przyjaciele ludzkości Serce kraju
zł. 1.— zł. 1.—
Dwie piękne książeczki o ludziach-przyjaciolach człowieka.

CZ. J. CENTKIEWICZ:

Biała foka zł. 8.— opr. 10.—
Nowy tom wrażeń i przygód z podróży polarnych.

J. DĄBKOWSKI i T. KWIATKOWSKI:

Jeden trudny rok zł. 3.—

J. OSTROWSKI:

Historje przedhistoryczne zł. 5.— opr. 7.—
Powiastki o ludziach pierwotnych.

A. BOHOMOLEC:

Wyprawa jachtu Dal zł. 4.— opr. 6.—
Bohaterska wyprawa żaglówką do Ameryki.

A. RANSOME:

Jaskółki i Amazonki zł. 7.— opr. 9.—
Znakomita powieść o przygodach harcerzy.

K. GRAHAME:

O czym szumią wierzby zł. 7.— opr. 9.—
Przygody kreta, borsuka i żaby dla dzieci i dorosłych.

ZOFJA KOSSAK:

Laska Jakóbowa zł. 5.—

HALINA GÓRSKA:

Nad czarną wodą, V. wyd. zł. 3.—

GREY OWL:

Historja opuszczonego szalasu zł. 7.— opr. 9.50

F. S. SMYTHE:

Obóz VI zł. 7.— opr. 9.50

G. SAWA:

Jak zostałem chirurgiem zł. 7.— opr. 9.50

A. T. HOBART:

Yang i Yin w druku

MARCEL PROUST

W poszukiwaniu straconego czasu

Ukazało się już 13 tomów tego epokowego cyklu. Świeżo wydano:

Strona Guermentes Sodom i Gomora

część II, 2 tomy 3 tomy

zł. 14.— opr. 18.— zł. 21.— opr. 27.—

NAGRODA NOBLA 1938 ROKU

PEARL S. BUCK

Już po raz piąty najwyższe wyróżnienie świata literackiego spotyka autora, którego dzieła „Rój“ przyswoił już publiczności polskiej. Tym razem nagroda przypadła w udziale pisarce, która swą głęboką znajomością Chin, przedewszystkiem wzniosła nutą człowieczeństwa, na całym świecie zjednała sobie entuzjastycznych czytelników.

DOTYCHCZAS WYDANO:

Błogosławiona ziemia, II wyd. zł. 3.—
Synowie „ 3.—
Ludzie w rozterce, II. wyd. „ 7.—
Matka „ 6.—
Spowiedź Chinki, II. wyd. „ 7.—
Wojowniczy duch „ 6.—
Wygnanie „ 6.—

OSTATNIA NOWOŚĆ:

Nieugięte serce „ 9.—

W XX-LECIE NIEPODLEGŁOŚCI MELCHJOR WAŃKOWICZ SZTAFETA

Wielka, 500-stronicowa, bogato i pięknie ilustrowana książka dużego formatu o pochodzie Polski w minionym dwudziestolecu, zakończona 80-stronicowym reportażem z Zaolzia, omówieniem granicy 1 listopada i objazdu COPu w dn. 16 — 20 listopada 1938 r.

ENCYKLOPEDIA WIEDZY PRZYRODNICZEJ

E. N. da C. ANDRADE i J. HUXLEY

PROSTA WIEDZA

Książka, dająca w jasnym i przejrzystym układzie, w nadzwyczaj przystępnym i interesującym opisie, podstawowe informacje o świecie nas otaczającym i o nas samych. Jest to dzieło nieodzowne nie tylko dla młodzieży, lecz i dla tych wszystkich, którzy nie chcą błędzić poomacku wśród zagadek codziennego dnia. Zgórą 400 ilustracji.

Cena zł. 18.— w opr. zł. 22.—

NOWE KSIĄŻKI PODRÓŻNICZE

A. FRIEDLER:

Jutro na Madagaskar zł. 8.— opr. 10.50

M. B. LEPECKI:

Madagaskar zł. 12.— opr. 15.—

M. KUNCEWICZOWA:

Miasto Heroda zł. 5.—

HISTORIA — PAMIĘTNIKI

K. ILLAKOWICZOWNA:

Ścieżka obok drogi zł. 7.—

AL. PISKOR:

Siedem ekscelencji i jedna dama w druku

F. GOETEL:

Pod znakiem faszyzmu zł. 5.—

W. HULEWICZ:

Przybłęda Boży zł. 10.— opr. 13.—

ST. MACKIEWICZ:

Książka moich rozczarowań zł. 7.—

A. NOWACZYŃSKI:

Młodość Chopina zł. 7.—

K. ZBYSZEWSKI:

Niemcewicz od przodu i tyłu zł. 10.—

W. TOMKIEWICZ:

Więzień kardynała w druku

B. FRANK:

Cervantes zł. 10.— opr. 13.—

A. VALENTIN:

Henryk Heine zł. 10.— opr. 13.—

E. LUDWIG:

Roosevelt zł. 10.— opr. 13.—

F. HARRIS:

W pogoni za pełnią życia zł. 15.— opr. 18.—

LLOYD GEORGE:

Wspomnienia wojenne, 3 tomy zł. 36.— op. 45.—

R. MARTIN DU GARD

LAUREAT NOBLA 1937 R.

RODZINA THIBAUT

Cały cykl ukazał się już w przekładzie polskim. Świeżo wydane tomy:

Śmierć ojca Lato 1914

zł. 6.— opr. 8.— 3 tomy zł. 24.— opr. 30.—

E. SZEMPLIŃSKA-SOBOLEWSKA:

Potrójny ślad zł. 6.—

Kochankowie z Warszawy zł. 6.—

J. ANDZEJEWSKI:

Ład serca zł. 8.—

MARIA UKNEWSKA:

Strachy, II. wyd. zł. 8.—

HALINA GÓRSKA:

Uciezki w druku

TADEUSZ DOŁĘGA MOSTOWICZ:

Profesor Wilczur, II. wyd. zł. 8.—

SERGJUSZ PIASECKI:

Bogom nocy równi, II. wyd. zł. 9.—

POLA GOJAWICZYŃSKA:

Dziewczęta z Nowolipek, 2 tomy, IV wyd. zł. 14.—

WIECH:

Syrena w sztywniaku zł. 6.—

ZOFJA KOSSAK:

Szaleńcy Boży zł. 10.—, w opr. zł. 12.50

A. WAŻYK:

Mity rodzinne zł. 7.—

H. ŁYSAKOWSKA:

Szrapnel i krzyż zł. 5.—

Żądajcie we wszystkich księgarniach. Na żądanie wysyłamy bezpłatnie szczegółowe prospekty i katalogi
Towarzystwo Wydawnicze „RÓJ“, Warszawa, Kredytowa 1. Konto P.K.O. 9.880

MARCELI HANDELSMAN

W setną rocznicę śmierci Deczyńskiego*)

Wezwany przez redakcję „Sygnałów“ do zabrania głosu w setną rocznicę śmierci Kazimierza Deczyńskiego, a po latach trzydziestu od chwili ogłoszenia przeze mnie tego niesłychanie smutnego, ale też niesłychanie prawdziwego dokumentu historycznego, jakim jest pamiętnik Deczyńskiego, zamierzałem podjąć dyskusję ze wszystkimi krytykami „fachowymi“, którzy w swoim czasie zakwestjonowali wartość „Żywota chłopca“ i podstawność podjętej przeze mnie inicjatywy.**)

Niestety, nowy materiał źródłowy, który przynosi do dziejów życia Deczyńskiego tak się rozrósł, że nie mogę nadużywać gościnnosci redakcji. Pragnę tylko uzasadnić twierdzenie, że Deczyńskiego należy zaliczać do polskich pisarzy ludowych, i podać z jego życia parę nieznanych a ciekawych szczegółów.

Ostatnio K. L. Koniński w ważnej publikacji, p. t. „Pisarze ludowi“ (t. I, 1938), próbował podać zasadnicze określenie tego, co należy rozumieć przez piśmiennictwo ludowe i odmówił przytem Deczyńskiemu prawa zaliczenia się do kategorii pisarzy ludowych, nie on zresztą pierwszy w Polsce.

Koniński mniej więcej w ten sposób ujmując pojęcie pisarza ludowego (— mówię: mniej więcej, gdyż Koniński nigdzie sam dokładnie nie powiedział, kto zdaniem jego jest „pisarzem ludowym“ —): jest to pisarz pochodzenia ludowego, który będąc samoukiem i nie zatrącając kontaktu z życiem ludowym, wziął się do pisania.

Rozumiem doskonale, że dla przygotowania antologii olbrzymiej już literatury ludowej trzeba było podać formułę ograniczającą, w której zmieściłby się pisarz ludowy w cudzysłowie, bo bez tego może nie udało się wogóle wydać owego, tak cennego wyboru. Ale nie rozumiem, dlaczego do tej literatury ma należeć np. znakomity mówca i pisarz, który był posłem na sejmy, ministrem, szefem rządu, a potem emigrantem, a nie ma należeć inny syn chłopski, który był nauczycielem szkoły parafjalnej, a potem żołnierzem, w wojnie dosłużył się stopnia oficerskiego i poszedł na emigrację. A przecież ani jeden, ani drugi nie zerwał kontaktu ze wsią, co więcej i dla jednego i dla drugiego istota, sens życia narodowego ześrodkowały się we wsi polskiej. Czyż kryterjum wykształcenia polega na posiadaniu formalnego świadectwa i czy bez technicznej umiejętności pisania, nie tej zresztą, której uczy się w szkole powszechnej, można być wogóle pisarzem?

I dlatego słuszniejsza wydaje mi się, nieortograficznie zresztą napisana, definicja pisarza ludowego, którą znajduję na marginesie „Pisarzy ludowych“ Konińskiego, wypożyczonych przeze mnie z chłopskiej świetlicy. „Moim zdaniem — pisze ów czytelnik wiejski — każdy chłop, który nawet skończył maturę lub ma wyższe wykształcenie, może być uważany za pisarza ludowego, o ile nie wyrzeka się kultury wiejskiej, pracuje dla niej, tworzy dzieła z nią związane“.

Sam określiłbym „pisarza ludowego“ jeszcze ogólniej: ludowe pochodzenie, osobisty związek ze wsią, nie tylko praca fizyczna, monoideiczna postawa w stosunku do zagadnienia wiejskiego i wyłączne zajmowanie się życiem wsi w twórczości literackiej czynią z pisarza — pisarza ludowego.

Ale w takim razie nie tylko Witos lub Słomka, ale i Deczyński musi się do nich zaliczać. I będzie to rzadki u nas przykład pisarza ludowego polskiego z czwartego dziesięciolecia wieku ubiegłego.

Koniński porusza jeszcze jedną, bardzo ważną sprawę — poczynności literatury ludowej na wsi. I słusznie. Poczynności dzieła w środowisku wiejskim, albo mówiąc inaczej: wrażliwość wsi na danego pisarza jako „swojego“ jest jeszcze jednym sprawdzianem jego ludowości, ale kryterjum to jest niesłychanie trudne do zastosowania. Bo jak ocenić tę wrażliwość, przecie nie liczbą rozchodzących się egzemplarzy dzieł autora w środowisku, które naogół ze względów materialnych jest prawie że zmuszone ograniczyć spożycie literatury do minimum albo nawet go się wyrzec.

Pozostaje zatem jedyna droga: ankieta wśród tych, którzy danego autora mogli czytać, ankieta wśród młodych chłopów, których — jak to wynika z dzieła J. Chałasińskiego „Młode pokolenie chłopskie“ (1938) — charakteryzuje wiara w siebie i swoje siły. By dać odpowiedź na pytanie, jaka jest wrażliwość dzisiejszego środowiska młodowiejskiego na Deczyńskiego, próbowałem też metody. Odpowiedź syna dziesięciomorgowego gospodarza (z pow. radzyńskiego), chłopca 18-letniego, który chodzi do szkół średnich, lecz stale pomaga ojcu w robocie — podaje tytułem dowodu. Pytanie było krótkie: „Czy mi się podoba Deczyński? Dlaczego? Co się w nim podoba, a co nie?“, Odpowiedź brzmiała:

„Dawno już minęła ohydna zmora pańszczyzny, dawno już skończyło się panowanie tych, co wysysali ostatnią kroplę krwi z

chłopa polskiego. Dziś jesteśmy wolni, niezależni, równi, mamy jakoby prawa do wszystkiego. Mimo to z bólem musimy stwierdzić, że szlachetczyzna głęboko wryła się w nasze serca. Nie dowierzamy czasami sobie: a może to wszystko wróci i znów zapanaże okrutna niewola, znów ekonom wściekle zrabie nam plecy, jak ongiś naszym dziadom i pradziadom? Obawa i strach, które napełniały serca naszych dziadów, zostały do dziś dnia. Deczyński to zjawisko niebывале, to coś, co człowieka może wzruszyć do głębi. To zjawisko tak drogie i wielkie, o którym my, chłopci, nigdy nie zapomniemy. Nie będę wyjaśniał, jak wielka różnica była między dworem a wsią, powołam się tylko na filozofję Zagłoby, przedstawiciela naszej patryjotycznej szlachty, który twierdził, że Bóg stworzył Lota i Chama i stąd dwa stany: szlachecki i chamski. Lecz historia uczy nas, że niekiedy pomimo trudności i przeszkód szlachty wybija się na czoło postać chłopca (Jamicki, Wieloch, Bartosz Głowacki i inni). Deczyński był właśnie jednym z nich — wykazał on, że chłop jest także zdolny do wielkich czynów. Jego poświęcenie się dla współbraci jest zadziwiający. Dziś synowie chłopscy, którzy kończą szkołę średnią lub wyższą, rzadko wracają na wieś, a co gorzej, rumienią się po uszy, zagadują o czym innym, gdy się z nimi rozmawia o wsi lub przypominają ich pochodzenie. Niema tego wszystkiego u Deczyńskiego. On nie kłaniał się w pas tym, co gnębią jego najbliższych, mimo że w stosunku do jego osoby zachowywają się w sposób bardzo uprzejmy. Cecha, która mi się najbardziej podobała u tego światłego chłopca, jest jego stanowczość. On jest człowiekiem stałym, idącym zawsze drogą prawdy i sprawiedliwości społecznej, nie cofa się przed groźbami, przed obietnicami, ani też przed samą dymisją, woli nędzę, głód, niż liżać stopy tyranowi, który znęca się i bije jego ojca, do niego samego zaś odnosi się uprzejmie. Deczyński zrobił jeden błąd, że nie pobudzał i nie uświadamiał innych gromad chłopskich.

Pamiętnik Deczyńskiego jako dokument ma wielkie znaczenie, gdyż odzwierciedla wiernie życie chłopskie sprzed stu laty. Każdy bowiem szlachcic opisywał życie chłopca często w tym celu, aby siebie usprawiedliwić, a często wywyższyć, chłopca zaś poniżyć. Pamiętnik Deczyńskiego jest aktem świętym, którego nie zapomniemy; stanie się nieoceniony dla tych wszystkich, którzy wyrzekną się fantazji o sielsko-anielskim życiu szlachty i jasno, z krytycznym spojrzeniem w gnieśne karty dziejów chłopca i szlachcica. Dla nas chłopów pamiętnik ten ma większe znaczenie, gdyż dodaje otuchy do śmiałych i mężnych przedsięwzięć. Każdy chłop, który się z nim zapozna, będzie śmieiej i odważniej występował w obronie swoich braci“.

I z tej próby zatem Deczyński wychodzi zwycięsko i kwalifikacja „pisarza ludowego“, którą mu nadałem, należy mu się w pełni.

A jednak jest to jedna z najmłodszych książek pierwszej połowy XIX w.

SPOWIEDŹ DECZYŃSKIEGO

Opisując dzieje zatargu Deczyńskiego z rodakami w Macon, rozwiązanego na jego niekorzyść decyzją Komitetu Dwernickiego w r. 1837, pisałem w r. 1907: „Jakie były dalsze koleje stosunku Deczyńskiego do jego towarzyszy, nie wiemy“.

Wówczas nie wiedziałem. Krótkość czasu — między jedną a drugą robotą w partji w r. 1906, konieczność szybkiego powrotu do kraju, trudność dostępu do aktów batignolskich — uniemożliwiła mi wówczas w Paryżu uzupełnienie dziejów ostatniego etapu walki Deczyńskiego o honor.

Dziś — w Polsce, przy wzorowym uporządkowaniu aktów t. zw. rapperswilskich, dzięki doskonałemu katalogowi zbiorów batignolskich dr. Więckowskiej i wyjątkowej uprzejmości bibliotekarzy — poszukiwania nad tym szczegółem dały się z łatwością i szybko dokonać.

Dotknięty do głębi swej istoty Deczyński postanowił się bronić, postanowił szukać opieki tam, gdzie, jak myślał, powinien być ją znaleźć. 7 czerwca 1837 zwrócił się do Centralizacji Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. W dzienniku jej korespondencji tak zanotowano tę inicjatywę: „Nr. 2060. Macon 7/6. Kazimierz Deczyński donosząc o zamiarze swoim wydania żywota swego, opisuje zajście, jakie z tego powodu miał z niejakim Mostowskim, żąda pośrednictwa w sprawie honorowej, której mu Mostowski odmawia“ (Bibl. Rapp. Dziennik Centr. 2302, II, 186).

Na to Mostowski odpowiedział prawie natychmiast, wygotowując olbrzymi akt oskarżenia, w którym szczegółowo a wykrętnie podaje całe zajście z Deczyńskim i Rządźewskim, opisuje wypadki, znane z przedmowy do „Żywota chłopca polskiego“, cytując rozmowy, charakteryzuje ludzi, i dołącza do niego swoją z nimi korespondencję, wezwania do prokuratora list Polaków, zamieszkałych w Brive z 20 kwietnia, oraz dwa rozdziały pamiętnika Deczyńskiego po francusku (I i XI). Cały ten pakiet, podpisany przez Mostowskiego, Żylińskiego i Skorutowskiego i niedatowany (wysłany był 12 czerwca) zawiera pointę w postscriptum li-

stu. „Niepotrzebna zdaje nam się rzecz tu Was się zapytać — pisał Mostowski — o zdanie, czyli powinien dać satysfakcję honorową Mostowski Deczyńskiemu lub Rządźewskiemu. Sąd Wasz nam jest naprzód wiadomy i tylko dlatego się domagamy tego na piśmie, abyśmy mogli go pokazać tym niecnym wyrodkom, którzy swe zbrodnie chcą w sprawę honorową przyodzisać, a o co ze wszystkich stron czernią przed cudzoziemcami tych, co ich na nikczemnej sprawie dosyć wcześniej ulowili“ (Bibl. Rapp. 2307, III, 571—616).

Centralizacja, która jak i Komitet Dwernickiego broniła się jak tylko najdłużej mogła od spraw honorowych, narazie sporu tego nie rozpatrywała. Wobec tego, nie znajdując dla siebie poparcia Mostowski wraz z towarzyszami ponowili swoje ataki 27 czerwca 1837, przekraczając charakter oświadczeń zakładu w Brive: w sposób niesłychanie jaskrawy uderzyli w Deczyńskiego i Rządźewskiego, „zaprzędanych interesowi dworu petersburskiego. Ci nieszczęśliwi wyzyszy się z wszelkich uczuć cnoty i honoru zamierzali służyć wrogom nieszczęśliwej Ojczyzny naszej w skutku czego postanowili ogłosić drukiem dzieło swe, które o ile sprzyja i popiera interes cara, o tyle szkodzi sprawie Polskiej“ (Bibl. Rapp. 2307, VIII, 12—13).

Liczyli, że tym razem przymuszają Centralizację do szybkiej decyzji, dla siebie przychylniej. I to jednak nie pomogło. Zaczęły się w Macon rozchodzić wieści, może jako rezultat jakichś rozmów z wędrującym często po Francji Malinowskim, że decyzja Centralizacji wypadła na korzyść Deczyńskiego. Wyprowadziło to całkowicie z równowagi Mostowskiego.

Wraz z Skorutowskim i Żylińskim zaoprottestował on przeciwko tej decyzji 11 lipca 1837, dając wyraz oburzeniu, że „zbrodniarze i potwarczy naszej Ojczyzny“ właściciel otrzymali pośrednio rozgrzeszenie dla swego stanowiska. Oczywiście, w tej walce czysto osobistej o podłożu wybitnie irracjonalnym, bo taki był przecie charakter stosunków na emigracji, najbardziej Mostowskiego zgniewało to, że Rządźewski mógł triumfować nad nim, ten „najrzęczniejszy ukrywacz zbrodni przaczem cnoty“. Przeciwno niemu więc zwraca się głównie ostrze nowego wystąpienia Polaków z Macon, bo „Rządźewski jako zręczny oszust stowarzyszył się z Deczyńskim, człowiekiem nie czującym okropności chańby (sic!) pręgięrzia opinii publicznej, człowiekiem ograniczonym do najwyższego stopnia, a palającym niepohamowaną chęcią zysków“. Rządźewskiego, równego sobie, Mostowski nienawidzi. Dla chłopca Deczyńskiego ma lekceważenie i pogardę (tamże, 7—8).

Nie można było rzeczy odwiekać dłużej w takich warunkach. Toteż zlecone do referatu Tomaszowi Malinowskiemu nadesłane pisma zostały przezeń przedstawione na posiedzeniu Centralizacji 29 lipca.

W protokole z tego dnia zanotowano: „tenże sam referent przedstawił odpowiedź, jaką wygotował do ziomeków z Macon, zaskarżających ob. Rządźewskiego i Deczyńskiego. Redakcja przyjęła, jej kopja przesłana być winna obydwom stronom, nadto żądane annexa zwrócone przesyłającym“ (Bibl. Rapp. 2301, II, 189).

Istotnie, decyzja Centralizacji, z datą 28 lipca, została obu stronom wysłana dnia 31 lipca. Brzmiała ona:

„Obywatele. Pismem z dn. 12 czerwca r. b. przedstawiliście nam zaskarżenie przeciwko Deczyńskiemu i Rządźewskiemu wpisane. Chcieliście, abyśmy się zajęli jego rozpoznaniem i wydali decyzję. Umocowani tem zobowiązaniem wzywaniem braci odwołujących się do sądu naszego życzyliśmy sobie z największą chęcią odpowiedzieć ich zaufaniu i chociaż nie wyrok, to przynajmniej zdanie nasze w tym przedmiocie objawić. Lecz po przejrzaniu papierów, nie znaleźliśmy właśnie tego, na czym zaskarżenie sprawy spoczywa. Zaskarżenie wasze w myśli, iż wspomniany Deczyński z pomocą Rządźewskiego w języku francuskim miał wydać dzieło, które jest przeciwieństwem Towarzystwa. Lecz gdy wspomnionego dzieła nam nie nadesłaliście, a z ulamków, któreście nam przesłali ani o jego osnowie, ani o jego duchu i ostatecznych dążeniach sumiennie sędzić nie jesteśmy w stanie, z tego wychodząc, nie możemy dać opinii stanowczej, czyli Deczyński i Rządźewski zapragnęli być wobec ludu Francji i Emigracji siepaczami ciemiężców naszych. Nie naganiamy waszej czynności nad rzeczą narodową. Rozstrząsając przeto główny przedmiot na boku otworzymy Wam zdanie nasze co do samego postępowania. Nie pochwalamy Deczyńskiemu i Rządźewskiemu, że się na tak śliskiej i łatwowiernej chociażby tylko dla osobistego zysku stawiają drodze, ale wnosząc z tego, coście nam z jednej i z drugiej strony napisali, sądzimy, żeście się wzajemnie za daleko posunęli, jedni zatrzymując przy sobie pod jakimkolwiek pozorem cudzą własność, drudzy wytaczając o to proces przed zwierzchność francuską wtenczas, kiedy swoim mistycznym i nieszczerem postępowaniem wszelką przezorność uprawiali, a przez proste odniesienie się do gen. Dwernickiego przestaniu mu manuskrypt odzyskać mogli. Do zakończenia przeto sporu pomiędzy Wami Obywatele i usunięcia dalszych nieprzyjem-



FR. PULS S.A.

ności tak z jednej, jak też z drugiej strony grozących innej, sprawiedliwszej nie widziemy drogi, jak tylko abyście zostawili sąd publicznej opinii o wyjść mającym dziele dalszych sprzeczek w tym względzie i poszukiwaniach wzajemnych zamiechali i jedni z Was postarali się o doręczenie przesłanego gen. Dwernickiemu manuskryptu i doręczenie go prawemu właścicielowi, drudzy zaś cofnęli skargę do prokuratora wniesioną.

Wszakże ob. Deczyński i Rządźewski wiedzieć o tem powinni, że Emigracja czuwa nad nieskazitelnością sprawy ogólnej i bezkarnie żadnego pisma nie przepuszcza, któreby mniej lub więcej w złym zamiarze poczęte i na widok publiczny wystawione tej świętej sprawie ubliżało; jeżeli przeto ich dzieło ukrywa w sobie niecne zamachy, po jego wydaniu spodziewać się mogą, iż nie tylko ich zasłużona kara nie minie, ale i fałsze przed opinią publiczną odkryte zostaną.

Zwracając żądane alegata zostawiamy przy sobie te tylko, do których zatrzymania upoważnieni przez Was zostaliśmy.

Pozdrowienie i braterstwo“.

W dopisku na kopji tego listu do Deczyńskiego dodano: „W załatwieniu twego pisma obywatelu z dn. 7 czerwca r. b. przesyłamy Ci w kopji odpowiedź, jakąśmy drugiej stronie po rozpoznaniu sprawy Waszej udzieliłi, a życząc z duszy, abyście dla wspólnego interesu i nierobienia zamieszek w kraju obcym, jak najspieszniej porozumieć się mogli i od rozpoczętych kroków odstąpiłi.“

Pozdrowienie i braterstwo“ (Bibl. Rapp. 2303, I, nr. 2308).

I tym razem Deczyński nie otrzymał satysfakcji. Ale czuł, że mu przyznano częściowo przynajmniej słusność. Głęboko wyrokiem Centralizacji przejęty, postanowił odsłonić przed nią swe serce do dna. Po długich namysłach wygotował (1 września 1837) wielki list, w którym cały się wypowiedział. (Bibl. Rapp. 2307, VIII, 10—11).

Po otrzymaniu tego pisma-spowiedzi przedstawiono je Centralizacji 11 września. Niestety, protokoły posiedzeń Centralizacji od 9 września do 12 listopada 1837 zaginęły. Jedyny ślad stosunku Centralizacji do tego listu Deczyńskiego pozostał w dzienniku Centralizacji, gdzie pod nr. 2551 zapisano: „Deczyński Kazimierz daje obraz swego dziełka, jakie mu Mostowski zagrabił. Odkrywa swoje widoki“ (Bibl. Rapp. 2302, III).

Czy oddziałalo ono na dalszą dyskusję w sprawie chłopskiej, jaka później rozwijać się miała wewnątrz Towarzystwa Demokratycznego, należałoby zbadać w rozprawach nad tym tematem w sekcjach T. D. P., poczynawszy od roku 1839—40.

Deczyński tak pisał: „Obywatele. Na pismo moje z dn. 7 czerwca r. b. odebrałem odpowiedź z dn. 31 lipca r. b. nr. 2308, objawiającą mi zdanie Wasze, które co do punktu oddania właścicielowi rękopisu i cofnięcia skargi do prokuratora wniesionej jest bardzo słusznym, co zaś do wyrażenia się Waszego, jakobym się stawiał na jakiejś śliskiej i dwuznacznej drodze dając mi uczuć, że wyrazy przeciwko mnie użyte przez J. W. Hrabiego Mostowskiego (albowiem innych dwóch liczę tylko za ślepe jego narzędzie), nazywając mnie wyrodnym synem Ojczyzny i jej siepaczem najemnym, mocniej Was uderzają, niżeli moje skromne i proste bez żadnego kłamstwa tłumaczenie.

Urodzony z tego najniebezpieczniejszego stanu, jaki na ziemi polskiej znajduje się chłop, karmiony chlebem w krwawym pocie czoła przez mych rodziców zapracowanym, czyli od maleńkości chodząc jeszcze do szkoły z paniczami, a tem bardziej gdy zostałem nauczycielem szkoły parafjalnej, nie miałem sposobności poznania tej lucyferkiej dumy szlachty polskiej, która mi się dała uczuć w całej swej piekielnej srogości: doświadczenie więc przekonało mnie, a dzisiejsze traktowanie tem mocniej mię utwierdza, że szlachta polska nie ma nawet granic swej zapamiętałej dumy, albowiem

*) Postać Kazimierza Deczyńskiego stała się dobrem powszechnym polskiego chłopca, inteligenta i robotnika, dzięki znakomitej powieści Leona Kruczkowskiego „Kordjan i cham“ — Red.

**) Patrz „Kwartalnik Historyczny“, 1909, XXIII, 263—64.

którego tylko z stanu chłopskiego nie ulega ich arbitralności musi być nieszczęśliwym na całe życie, bo duma nie zna litości, owszem stara się wynajdywać sposoby, chociażby najnikczemniejsze, aby nieszczęśliwemu wieśniakowi dać uczuć swoją przemoc w całej swej obszerności, iżby nawet nie myślił nigdy tenże wieśniak o wydobyciu się spod panowania.

W Polsce nazywano mię buntownikiem chłopów, czyniono ze mnie tysiączne szyderstwa, zadawano mi gwałty, zabierano papiery, destytuowano mię z posady nauczyciela i wtrącono do wojska na żołnierza, jakgdyby do więzienia, abym nędznie zakończył życie moje pod karabinem, nie miano względu na przepisy prawa, do których się odwoływałem, a to wszystko działo się staraniem i intrygami przemożnych panów, a-bym nie miał sposobu kreślenia ich okrucieństw nad chłopami wywieranych i nie przedstawiał ich przed trybunał sprawiedliwości. Teraz zaś schroniwszy się na ziemię wolnego Narodu, dopotąd stan urodzenia mego milczeniem pokrywałem, nie dlatego, abym go się wstydił, lecz znając dumę paniczów polskich uniknął nieprzyjemności, jakie widziałem czynią w duchu i sposobie szyderskim równym nawet im kolegom dlatego, że są urodzenia chłopskiego, z boleścią serca słuchałem prawie codziennie ich rezonowania, że ludzie nie będący urodzenia szlacheckiego nie mogą mieć wzniosłych uczuć, wyższych wyobrażeń i zdolności, jak szlachta: ta zaraza rodu ludzkiego! A co większa, widziawszy, jak ci dumni panicze z pogardą absolutnie traktowali najnikczemniej towarzyszy broni i tułactwa, dlatego, że nie byli równego im stanu urodzenia, i dumny krzywdiciel miał sobie za satysfakcję i przyjemność jeszcze wydzierać życie najniewinniej skrzywdzonemu. Otóż to wyższość wyobrażeń i wzniosłość uczuć na sposób cara rosyjskiego.

Dopokąd więc i ja milczeniem pokrywałem stan urodzenia mego byłem dobrym kolegą, bratem, przyjacielem, najlepszym Polakiem, jak tylko wyjawiałem się z stanem urodzenia mego i opinią moją, jakże mię traktują ci panicze? Otóż zamiast owej przyjaźni, koleżeństwa i braterstwa, uznają mię być niegodnym ich kompanii, i chcieliby, żeby cały świat mną pogardzał, mówiąc do Polaków, których widzieli ze mną rozmawiających: „jeżeli chcesz żyć z nami, to z tym chłopem nie wdawaj się, bo inaczej nie przyjmujemy cię do naszej kompanii“, a gdy zamierzyłem wydać pisemko częścią kreślące moje cierpienia, jakich byłem ofiarą, spowodu stawania w obronie chłopów, jako ich plenipotent, częścią wystawiające nieszczęśliwe położenie tychże chłopów i ich srogie unięmięczenie, znalazł się niejaki P. Ignacy Mostowski, Jaśnie Wielmożnym Hrabia mianujący się, który nie widząc jeszcze mego pisma, mając tylko jego cel sobie powiedziany, że to jest o ucięmięczeniu chłopów z tego powodu jak tylko zdarzyła mu się okazja mówienia ze mną o chłopach, nie mógł przewyciężyć się i utaić znaną dumę szlachty, utrzymując bezwzględnie, że chłop polscy nie są godni być wolnymi i niepodległymi, a tem bardziej oswoobodzeni od pańszczyzny, gdyż ta jest bogactwem kraju, że zaś ja przy mojej opinii i postanowieniu obstawałem, przeto Mostowskiemu przychodzi myśl podić i nikczemnie, aby mię wyprowadzić za miasto na spacer i żywcem utopić w rzece Saonie, albo też wyzwać mię na pojedynek i namówiwszy się z sekundantami zabić mię zbrojczkim sposobem pod pozorem pojedynku. O takich nadspodziewanie zwierzęcych zamachach nie wiedząc, przysposabiałem pisemko moje, aby wydane było, jak pismem moim z dnia 7 czerwca r. b. do Was obywatele uczynionem wymieniłem, na co nawet J. W. Hrabia zgodził się, chociaż niesmaczne było dla jego miłości własnej, lecz przytłumiając swą dumę dla szanowania słuszności nie mógł zaprzeczyć rzeczywistej prawdy; i byłoby wszystko przeszło najspokojniej, gdyby Mostowskiemu był nie wyzwał na pojedynek za osobistą krzywdę mi uczynioną, co tem więcej sprzeciwiało się dumie hrabiowskiej, bo rzecz niesłychana w Polsce, szlachcie, tem bardziej hrabia nigdy nie powinien stawać w szranki z chłopem, gdyż to byłoby uchybieniem dla jego wysokiej godności, a chłop skrzywdzony musi milczeć, albowiem poszukując swej krzywdy jeszcze więcej skrzywdzonym zostanie: tak i Mostowski, napuszony swem urodzeniem hrabiowskim, nietylko mię skrzywdzonomu satysfakcji odmówił, nazywając mię niegodnym, bo jestem chłop, przez co on splamiłby swoje urodzenie, ale nawet aby mi dać uczuć, jeżeli nie istotną, to przynajmniej urojoną wyższość i przewagę umyślił wynaleźć sposób, jakby tu tego krnąbrnego chłopca jeszcze lepiej ukarać. Jakoż najprzód mój rękopism, w którym dopiero konotatki znajdują się, dany do odczytania na zgromadzenie ogólne arbitralnie zatrzymał i łamiąc dane słowo honoru oddać go nie chce, chociaż mu oświadczyłem, jeżeli mię chce ten rękopism, to mu chętnie pozwalam wziąć sobie kopję, a co większa pod maską słodkich wyrazów miłości Ojczyzny podobało mi się nazwać mię wyrodnym synem Ojczyzny i jej siepaczem, bo moje pismo obstało za uwohniem chłopów od pańszczyzny. Gdybym to malował wielkość i piękność pałacu jakiego hrabiego, chociaż w wybudowanie tego pałacu chłopci dźwigając ciężary za pańszczyznę i damochwy, będąc chłostani batem ekonomskim krwawe łyzy wylewali i tysiączne przekleństwa (sic!) rzucali na ciemiężce, przecież ah! jaki byłbym pocziwy polak, ozdoba Ojczyzny.

Nie dosyć, że Mostowskiemu podobało się nazwać mię wyrodnym synem Ojczyzny i jej siepaczem, ale nawet rozpisywać bez-

czelne kłamstwa, a być może poddawać jakie fałszywe w przesyłanych ułamkach mego pisma, chociaż to nie było jeszcze przeznaczone i przysposobione do druku, aby wszystkich ziemaków jakiegokolwiek opinii przeciw mię oburzyć i na wżgardę mię wystawić, bo człowiek dumny, nie szanujący słowa honoru nieprzyjaciela prawdziwej wolności, (kiedy jeszcze tu śmie odzywać się bezczelnie, że chłop polski nie są godni być wolnymi i niepodległymi), nie ma sobie za skrypuł (sic!) zbroczyć z drogi prawdy.

Niech więc wszyscy polacy, którym moje tłumaczenie — kłamstwem lub słowami moimi goryczą być się zdają przylegają do J. W. Hrabiego, jak pszczoły do ula, a tam znajdują ich słodycz, niech bronią feudalności, bo ich herby, szlachectwa, dostojęństwa baronowskie, hrabiowskie i książęce straciłyby wysoką powagę, gdyby nie mieli poddanych i pańszczyzny, niech mię osądzą i we wszystkich dziennikach publicznych głoszą wyrodnym synem Ojczyzny i jej siepaczem, a zobaczymy, kogo jest właściwie takim nazywać.

Rozważając prawa natury i ludzkości ja widzę, że to ci, którzy się chepią zaszczytem szlachectwa, ci to Wielmożni, Jaśnie Wielmożni i J. Oświeceni, są wyrodnymi synami natury ludzkiej i siepaczami pracowitego ludu, a Najjaśniejszy ich Naczelnikiem, jakże więc ja mógłbym podobać się Najjaśniejszemu Naczelnikowi siepaczów i tyranów, kiedy siepaczom jestem goryczą. Każdy Polak broniący praw tych wyrodnym synów natury sobie przywłaszczonych, a nie chcący uznać nędznego chłopka swym równym i niepodległym bratem, powstający jednak przeciwko Najjaśniejszemu Naczelnikowi tyranów, inaczej uważany być nie może tylko, że sam pragnie być albo takim samym Naczelnikiem, albo też żeby nie miał nad sobą żadnego, któremu by w czemkolwiek ulegał, a przez to był nikomu nieodpowiedzialnym siepaczem pracowitego ludu.

Z powodu cierpień, jakich doznałem w Polsce, cichałem nienawistą przeciw dumnym ciemiężcom, dzisiajże zaś traktowania odnawiając zadaną ranę sercu memu, tem mocniej zaostrzają tę nienawiść, bo widzę, że niepróżnie powiedział Kołłątaj te słowa: „Polska dopotąd szczęśliwą nie będzie, dopokąd chłop nie utnie głowy swemu panu toporem na jego progę“. Albowiem przekonał się, że szczęśliwość kraju, wielkość narodu zawisała na tem, aby wszystkie klasy ludu przywiezione do równości wiązały się braterską miłością. A wiedział, jak dumna szlachta zapamiętała w swych przesadach odstąpić nie chce od swych praw samolubnych i nie myśli żyć inaczej, tylko z pańszczyzny. Wszakże przeszło tyle sposobności, gdzie w Polsce nowy porządek towarzyski zaprowadzony i pańszczyzna zniesiona być mogła, dlaczego tego nie uczyniono? dlaczego przynajmniej nie uchwalono i nie ogłoszono prawa, znoszącego to haniebne jarzmo z pracowitego ludu? dlatego, bo rządy i reprezentanci narodu dla mamienia przyjaciół prawdziwej wolności byli tylko pozornymi przyjaciółmi tejże wolności, radząc, iż tylko stopniowo do takowej wolności lud wiejski przypuszczać należy, a to w duchu, aby tenże lud pracowity nigdy do prawdziwej wolności przypuszczony i z kajdan pańszczyzny oswoobodzony nie był — Gdyby cesarz rosyjski po znieszeniu ostatniej naszej świetnej rewolucji, objawszy napowrót swą władzę był zniósł zupełnie pańszczyznę w Polsce, czyliż to nie byłaby chańba (sic!) dla szlachty polskiej, a tem bardziej dla reprezentantów, że ten, którego głosili tyranem, jeżeli nieprawdźwie, to przynajmniej obłudnie pokazał litościwsze serce nad oplakany stanem chłopów, niżeli owi mniemani przyjaciele wolności, lecz że tego nie uczynił, słusznie nazwany być powinien Naczelnik siepaczów, bo owszem tolerując ich bezprawia i faworyzując ich dumie, przywrócił dostojęństwo szlachectwa do dawniejszego waloru i powagi, jaką miało przed rokiem 1807, aby nędzny chłopek tem bardziej był pogardzany. Otóż to ci, którzy moje słowa prawdy o ucięmięczeniu chłopów wyrzeczono nazywają kalomnią narodu, wyjawiają się, że ukaz cara, przywracający szlachectwo więcej im czyni przyjemności i jakoby na tej zasadzie tylko Panów i stan szlachecki za naród uważają.

Mówić prawdę w Polsce przeciwko ucięmięczeniu chłopów wyprowadza Cię na szubienicę, jako buntownika, mówić przeciwko temu ucięmięczeniu zagranicą nazwają Cię wyrodnym synem Ojczyzny i jej siepaczem, bo najświetniejszą prawdę ogłoszą za kalomnię i przeciwną rzeczą Narodowej. Czyliż to taka rzecz narodowa, żeby bronić praw samolubnych panów? a zatem nieszczęśliwemu chłopu skrzywdzonomu, jeżdżącemu w kajdanach pańszczyzny, nigdzie nie wolno podnieść głosu przytłumionego, trzeba, żeby tyranów nazwał jeszcze dobroczyńcami, aby więcej innych nieszczęśliwych nie ośmieliło się powstać przeciwko ciemiężcom.

Och, gdyby nie te zabiegi przytłumiania głosu ludzkości, gdyby nie te polityczno-systematyczne postępowania rządów rewolucyjnych polskich lud polski byłby dziś wielkim i niepodległym Narodem.

W Polsce podniósłszy głos, zebrał o ulgę ucięmięzonym chłopom i zabezpieczeniu ich od gwałtów, znalazłem tak w panach, jako i urzędnikach oraz w Panującym kamierne serca bez żadnych uczuć ludzkości, traktowany owszem za to zostałem jako złoczynca jaki i stałem się ofiarą cierpień i prześladowania. Dzisiaj, że chciałem tylko uziłić się na te cierpienia i skreślić ucięmięzienie chłopów, widząc, że przez toż samo, jak i w Polsce jeszcze źle traktowany jestem i że z pomiędzy emigracji

może więcej nieprzyjaciół, niżeli obrońców znaleźć moge, dla przywrócenia więc sobie spokojności na uwagi przez kolegów mi uczynione odstąpiłem od zamiaru mego i podpisałem nawet deklarację pod dn. 22 czerwca r. b., zrzekając się wydania mego pisemka w obcym języku.

Przekonać się więc możecie, Obywatele, że postępowanie moje zdaje mi się być zgodne z honorem i powołaniem prawego obrońcy wolności, nie jest to moja wina, że J. W. Hrabia podług zwyczaju swego stanu urodzenia zapomniał się, gdzie się znajduje, wyrządzając mi gwałty, zmusił mię szukać satysfakcji w sprawiedliwości, bo jakie mogłem mieć inne środki? Czyliż ja powstając przeciwko gwałtom i za to nowych gwałtów stając się ofiarą mógłbym płamić czystość moich postępowań, chociażbym tylko gwałt gwałtem odpięrał, nie mogę więc cofnąć skargi do prokuratora wniesionej, dopokąd Mostowski nie odda mi rękopismu zabranego, aby się nie chepił, że uległem Jego hrabiowskiej dumie i arbitralności, lub też narazicie niech inny współziomek zareczy słowem honoru, że mój rękopism ile być może najrychlej zwróconym mi zostanie to ja najchętniej skargę odwołam.

Co zaś do Rządzącego, przekonać się możecie Obywatele, do jakiego stopnia przewrotności posuwa się duma hrabiowska. Rządzący od czasu poznania się z Mostowskim prawdziwie sprzyjał mu więcej, niżeli mię i obydwaj zaszczycał się wzajemnie ścisłą przyjaźnią; w momencie

zaś kiedy Mostowski wyrządził mi krzywdę osobistą pod maską dobra Ojczyzny, głosząc mię niegodnym satysfakcji honorowej oraz zbierał podpisy mię potępiające, że Rządzący nie chciał swego podpisu przeciwko mię położyć, przeto Mostowski swego przyjaciela nazywa takim, jak i mię; zmieszał go więc wcale nie do właściwych rzeczy, gdyż Rządzący nie miał żadnego udziału co do tworzenia rękopismu zabranego, ani też żadnego związku jakiegokolwiek interesowności, pragnę więc, aby Rządzący w tym przedmiocie nie był wcale wspomniany, gdyż ja dziś nawet żadnych nie mam z nim stosunków.

Niniejsze pismo moje przedstawiam Wam Obywatele w chęci wynurzenia prawdziwych dążeń serca mego, że nie inne są pragnienia moje tylko oglądać Ojczyznę moją wolną od najeźdźców, a zamysły moje, abym mógł doczekać owej chwili, gdzie kajdany i uciążliwe jarzmo pracowitego ludu polskiego skruszone zostaną i dumni zaburcy naszego najdroższego nam kraju pogromieni będą.

Składam Wam oraz Obywatele najczulsze podziękowania, że raczyliście się zatrudnić pismem moim i na takowe mi odpowiedzieć, czem pocieszyliście serce przeciwnościami stroskane, a przytłumiliście nieco dumy mym antagonistom.

Pozdrowienie i braterstwo
Kazmierz Deczyński“.

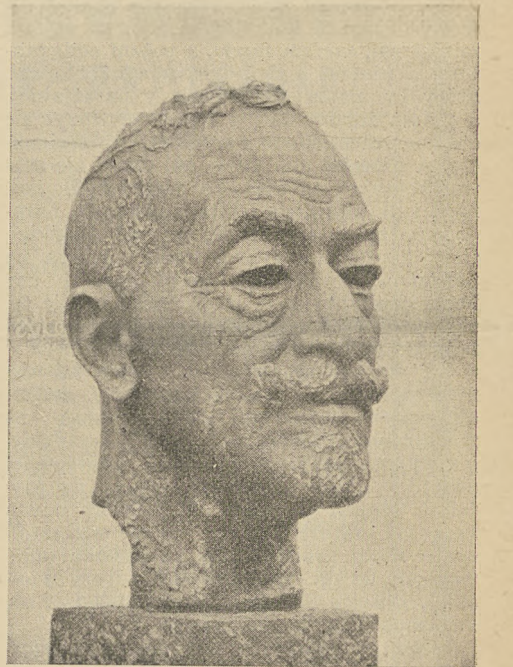
Do druku podał Marceli Handelsman

Rzeźba w X Salonie I. P. S.

Rzeźba w X Salonie Instytutu Propagandy Sztuki w porównaniu z malarstwem prezentuje się dość ubogo ilościowo. Brak wielu wybitnych rzeźbiarzy sprawiło, że wystawa obecna nie odzwierciedla należycie stanu współczesnej rzeźby polskiej, która mimo fatalnych warunków rozwija się stosunkowo pomyślnie. Całość wystawy, pomniawszy kilka rozdetych miernot, notorycznie zaśmiecających urzędowe gmachy okolicznościowym szmelcem, wywiera jednak dość korzystne wrażenie. Sztuka bowiem rzeźbiarska w Polsce, odrzucając balast literacko-psychologicznych motywów, nawiązuje dziś, pod wpływem wspaniałej rzeźby francuskiej, do zagadnień ściśle plastycznych, wysuwając na pierwszy plan architektonikę bryły, równowagę form, samoistność wstępu, wreszcie prawa samej rzeźbiarskiej materji i rzemiosła.

Rewelacją skromnej tej wystawy są niewątpliwie prace *Franciszka Musiaka*. Młody ten, wybitnie uzdolniony artysta, wykazuje w swych rzeźbach rzadko spotykane wyciszenie istoty i możliwości wstępu, którym się posuguje (granit). Forma jego portretów dziecka wyrasta niemal organicznie z kamienia. Idealnie zwarte i lapidarne, oparte na dośrodkowej konstrukcji tworzą one syntetyczne, jednolite, mocno osadzone bryły. Niema w nich przytem tak typowej dla tego rodzaju tematu czułościwości, ani literackiego infantylizmu. Masiak, dając znakomitą budowę i narastającą formę kształtu, nie lekceważy również powierzchni bryły i osiąga oryginalne efekty dzięki pomysłowemu wyszukaniu biologicznej struktury granitu. W przeciwieństwie do Masiaka Ludwik Puget daje rzeź-

wie artysty. W rzeźbie *Alfonsa Karnego* dostrzegamy liczne niekonsekwencje: każda rzeźba Karnego jest inna w formie; formy te, skłócone i wrogie sobie, nie są bynajmniej wynikiem świadomej inwencji, lecz przeciwnie, dowodzą braku określonej koncepcji formalnej. Karny nie jest konse-



Alfons Karny: Głowa



Franciszek Masiak: Dziecko

biarską transpozycję malarstwa. Nieomylny jednak instykt rzeźbiarski potrafił ustrzec artystę przed pomieszaniem obcych sobie w zasadzie koncepcji. Jego świetny „Portret amerykańskiej poetki“, zbudowany na kontrastach światłocienia, jakgdyby przelamany krzyżującymi się płaszczyznami — posiada logiczną, dokładnie przemyślaną konstrukcję. Puget bowiem operując ekspresjonistyczną, wyraźnie dynamiczną formą, umie przeciwieństwem pozornie rozwięzanej bryły modelu w karby rzeźbiarskiej dyscypliny. Pelen rozmachu i ogromnej pasji portret ten świadczy ponadto o odrębnej, nawskróś indywidualistycznej posta-

kwentny nawet w ramach poszczególnych rzeźb; tak więc w „Samouku“ płacze przestrzenne walory bryły z linearyzmem, wydobywając partje głowy i nóg graficznym, ostrym, antyrzeźbiarskim rysunkiem, to znów w „Głowie generała Safar-Malsak-beja“ różniczkuje powierzchnię zapomocą zewnętrznej, przypadkowej, „leżącej na wierzchu“ faktury (broda, wąsy, włosy). Nieprzeciętną techniką wyróżniają się głowy *Marji Gorełówny*, w których rzeźbiarska celowo akcentuje dekoracyjny charakter zwójów drzewa. Głowy te odznaczają się pełną, pozabawioną jakiegokolwiek pozarzeźbiarskich elementów, statyczną bryłą, oraz logiczną, wynikającą z materiału (dąb) ścisłą formą. Spośród pozostałych eksponatów wyróżniają się korzystnie: wybitną kulturą i finezją techniczną, wywodzącą się ze sztuki Despiou „Popiersie kobiety“ *Janusza Wildena*, wdziękiem, wycuciem ruchu, układem kompozycyjnym, zespęconego patyną i jednostajną łuską „Akt“ *Jerzego Mazurczyka*, gipsy *Zoffi Soboltowej*, wreszcie „Głowa“ akademickiej „*Polonia Vitrix*“ *Franciszka Habdasa*.

Leon Strakun



Dyktator rys. E. Lipiński

Dwie powieści Szemplińskiej

Elżbieta Szemplińska - Sobolewska. Cykl: Zrosty I. Potrójny ślad. Powieść. Warszawa, „Rój”, 1938; str. 289 i 3 nl. — II. Kochankowie z Warszawy. Powieść. Warszawa, „Rój”, 1939; str. 289 i 3 nl.

Przed paru laty Polskie Radio nadało słuchowisko Szemplińskiej, p. t. „Potrójny ślad”. Po pewnym czasie ukazała się powieść pod tymże tytułem, teraz zaś autorka zapowiada cały cykl p. t. „Zrosty”. Czy mamy tu do czynienia z częstym u pisarzy wypadkiem rozrostu tematu, czy też pierwotne zamierzenia autorki już posiadały te niepokojące obszernie rozmiary, o to mniejsza, bo tak czy owak sam fakt rozrastania się bardzo wyraźnie zaciążył na charakterze dwóch wydanych dotychczas ogniw cyklu: „Potrójnego śladu” i „Kochanków z Warszawy”.

Co się dzieje w tych książkach? Streszczenie ich nie jest łatwe. Dzieje miłosne wybitnej aktorki Darji, które wypełniają o ba tomy, ukształtowane są tak, że można by wyliczyć kilkanaście scen i faktów, następujących kolejno po sobie, ale niesposób wyłowić reguł, które im mogłyby nadać kształty jednolitego wyższego rzędu. Jeszcze w „Potrójnym śladzie” można odnaleźć zarys pewnej całości fabularnej: jest to historia „odbicia” kochanka Darji, doktora Urbana, przez jej przyjaciółkę Matyldę. Ale w

nabiera zaś zabarwienia bardziej pozytywnego.

Inne postaci i sylwetki są znacznie gorsze. Nie udało się autorce pierwszy amant z „Potrójnego śladu”, Urban, bardzo banalnie wypadł „wierny” Niedźwiecki, reszta na przeciętnym poziomie.

„Potrójny ślad” ma zajmującą koncepcję strukturalną. Składa się on z trzech części: pierwsza eksponuje temat przez rozmowę Matyldy z Urbanem o Darji, druga („wyciąg ze snu Matyldy”) komplikuje i rozwija temat przez gromadzenie dalszych wyobrażeń poszczególnych postaci o Darji, trzecia, pamiętnik Darji, ma być rozwiązaniem. Schemat ten mógłby nadać powieści dużo dobrej ekspresji, autorka jednak zachowała się jak jej własna bohaterka, t. zn. bardzo niekonsekwentnie. Ścierające się ze sobą we wstępie i w rozwinięciu sądy o Darji wytworzyły pewne napięcie, które jednak autorka rozładowuje, wprowadzając aspekt Darji już w środku tematu. Stąd zagadka jej charakteru obnaża się przed czasem. Zamiast oświetlenia Darji „od wewnątrz”, tak jak „od zewnątrz” oświetlały ją liczne, a sprzeczne sądy postaci powieści, pamiętnik obnaża tylko kłamstwo Matyldy, która wmawia w Urbana, że Darja o nim nie myśli, podczas gdy ów „pamiętnik” był „pieśnią miłości i tęsknoty” do Urbana. To „puszczenie” nie tylko osłabia emocję powieści, ale i degraduje temat. Rozwiązanie jego z wyżyn strukturalno - charakterologicznych spada do roli drobnego fabularnego chwyciku o posmaku nieomal plotkarskim.

„Kochankowie z Warszawy”, jak już wspomniałem, są prostą i gładką narracją, bez żadnych już wysiłków kompozycyjnych. W stosunku do „Potrójnego śladu” nie posiadają żadnych plusów, są natomiast w nich słabości, których tam nie odczuwano. Oprócz drobiazgów (np. doskonale epizody z kotem Januarem i wylicza Moną Lizą), których tu zabrakło lub wypadły bardziej błado, drugi tom cyklu zdradza pewne cechy zgoła niepokojące. Darja, która tak ujmowała w „Potrójnym śladzie”, zaczyna tu nużyć i drażnić. To „starzenie się” bohaterki jest tem smutniejsze, że drugi tom cyklu jest znowu „skokiem w przeszłość”, Darja zatem musiałaby być „młodsza”. Niestety, zamiast „odświeżenia” jej, albo raczej pogłębienia, w drugim tomie mamy

pewne „rozwodnienie”. Cała treść jego zresztą była już zawarta zwięźle i zwarwie w „Potrójnym śladzie” i jeśli, jak na epizod, odznacza się aż nadto wystarczającym ciężarem właściwym, to otrzymawszy na wyłączną własność całą, trzystostronicową prawie powieść, jakoś dziwnie zmalała, stała się płytka i blaha. Winę tego ponosi rodzaj talentu autorki i niewspółmierność jego z jej zamierzeniem formalnym.

Szemplińska (jak narazie przynajmniej) jest osobliwym talentem liryczno-powieściowym. Posiada dar tworzenia pojedynczych, bardzo sugestywnych postaci, dar wywoływania epizodów o szczególnym nastroju, nie ma jednak zmysłu ściśle epickiego, nie potrafi wytworzyć fikcji obiektywizowania życia, ani jego potoków układać w szerokie kompozycje. Tymczasem pewna hierarchia tematów, pewna współmierność ich z czysto fizycznymi rozmiarami dzieła jest nieodzowna. Przed natrętnym wrażeniem powtarzania się nie uchroni czytelnika jedna postać, choćby odczuła najżywiej, choćby odtworzona najdokładniej. A nawet właśnie najżywiej, najdokładniej przedstawiony bohater najprędzej może wywołać uczucie monotoni, bo przesłania sobą cały horyzont cyklu powieściowego, bo te parę skrawków pejzażu, te parę dalekich sylwetek, wyzierających na rogach płótna spoza jego głowy, ramion i nóg, nie mogą urozmaicić, pomnożyć przeżycie odbiorcy, choćby dlatego, że i one są powołane tylko po to, by przez stopniowanie czy kontrast wycieniać, wysunąć jeszcze bardziej naprzód postać czołową. Jeśli już mamy trzymać się kategorii malarskich, to wspomnijmy i tu o zależności rozmiarów od tematu. Nie maluje się martwych natur czy portretów na płótnach kilkumetrowych wymiarów.

Różnica poziomu między „Potrójnym śladem” i „Kochankami z Warszawy” powinna przestreczyć Szemplińską. Jej wielki talent zdobędzie się niewątpliwie na dalsze tomy „Zrostów” równie gładkie i poprawne, jak drugi, ale też niepokojąco bliskie, a może coraz bliższe tej rasowo kobiecej powieści, która setkami książek nawadnia naszą, niezbyt spragnioną głębię czytelnictwa, zalega lady czytelnicy, przechodzi sprawnie przez ręce i oczy odbiorców i miła, tak nikłą pamięć zostawiając po sobie. Czy laury w tej konkurencji mogą zadowolić autorkę „18 spotkań”?

Jerzy Putrament

OBLICZE DNIA

Kulisy pewnej polityki. Głośny publicysta angielski Wickham Steed wydał niedawno pracę, p. t. „Książka o prasie”. Do publikacji zostało dołączone znamienne „Postscriptum”:

„Od chwili, gdy te słowa zostały napisane w połowie września, poczyniła angielska prasa — z jednym albo dwoma godnymi uwagi wyjątkami — dalsze postępy na drodze, która prowadzi do pograżenia w totalizm. Chociaż nie znaleźliśmy się jeszcze w stanie wojennym i chociaż wszystkie patriotyczne i humanitarne względy domagały się, aby brytyjskie pisma okazały w czasie międzynarodowego kryzysu swoją niezależność przez jasne wyrażenie uczuć ludu, znaczna większość naszej prasy przytłumiła wiadomości i ukryła szczerych do nich stosunek. Zrobiono to częściowo z uległości dla poufnych podszeptów pewnych tajnych organizacji, które zastępowały poglądy oficjalnych kół, albo też udają, że je zastępują. Żadne pismo, o ile widziałem, nie

napiętnowało otwarcie tego bezwstydnego nacisku na wolność świadomego swej odpowiedzialności dziennikarstwa.

W niedzielę 9 października zastrzegł się jasno niemiecki dyktator Hitler przeciwko mieszaniną się Wielkiej Brytanii do spraw Trzeciej Rzeszy; równocześnie zagroził wojną na wypadek ewentualnego powrotu na stanowiska trzech brytyjskich ministrów (Duff Cooper, Churchill, Eden).

Skoro wiadomość o tem została podana tej samej niedzieli przez radio, wśród narodu angielskiego zapanowało powszechne oburzenie. Ale następnego ranka nie znalazła się w inspirowanej prasie angielskiej ani jedna oznaka głębokości tego oburzenia. Niektóre z pism poprostu rozgrzeszały Hitlera. Bliższe zbadanie tego poniżającego przemilczenia naszej „wolnej” prasy ujawniło, że pewne wielkie agencje ogłoszeniowe ostrzegły pisma, którym udzielały dużych zamówień: że „wyolbrzymiającym międzynarodowy kryzys i usiłującym spo-

wodować alarm, który byłby szkodliwy dla handlu”, ogłoszenia zostaną wstrzymane. Żadne z tak ostrzeżonych pism nie odważyło się odkryć nazw owych agencji i poddać ocenie opinii publicznej. I to w momencie, kiedy sprawą najwyższej wagi dla narodu angielskiego było łączyć kraj dla obrony jego wolności i ewentualnie jego niezależnej egzystencji”.

G. K. Chesterton o angielskiej dyplomacji. Nakładem Gallimarda ukazała się francuska wersja dzieła, napisanego jeszcze z końcem 1914 roku przez zmarłego przed dwoma laty angielskiego pisarza katolickiego, G. K. Chestertona — o tytule „La Barbarie de Berlin”.

Jako rys, niewralgiczny punkt odgraniczający zdecydowanie Germanów od pozostałego świata określa autor organiczną niezdolność niemieckiego mózgu do umysłowania sobie dwóch, dla wszystkich ludzkich społeczeństw zasadniczych pojęć: ducha układu, przyrzeczenia, i wzajemności. Ta podwójna nieomoga sprowadza się znowu do zasadniczego braku: Niemcom obce jest uczucie, że obok nich mogą istnieć inni mieszkańcy ziemi, innej rasy, inaczej czujące istoty i do tego równouprawione, mówiąc językiem międzynarodowym — „partnerzy układu”, a biblijnym — „bliźni”.

Jak mogą dotrzymać przyrzeczenia, zobowiązania na przyszłość, jak mogą zawrzeć umowę, nie uznając i nie uważając żadnego kontrahenta za równego? Jeżeli zaś to czynią, to słusznie należy się obawiać, że kieruje nimi tylko ostrożność, „rezerwa”, a przysięga zostanie złamana, skoro tylko z „nową sytuacją” przyjdzie „nowa konieczność”. To złamanie słowa w każdym momencie, który się nadarzy, sprzeciwia się duchowi wszystkich ziemskich społeczności, wszystkim ludzkim regulom gry, jest zamachem na tryby ludzkich dzieł, przejawia się w nim nowa, obca ludzkości moralność.

Placząc o złych zamiarach wroga nad Renem, o krzywdzie, którą muszą znieść, o tem, że niemal każdy chce im zrabować piękną rzecz, wchodzą gwałtem w posiadanie obcych krajów.

Wnikliwy psycholog konstruuje historyczny kalendarz, doskonale odpowiadający „owej angielskiej dyplomacji”, która jest skłonna dalej wierzyć melodjom germańskiego serca”:

24 lipiec: Niemcy napadają na Belgię;
25 lipiec: Anglja wypowiada wojnę;
26 lipiec: Niemcy przyrzekają nie okupować Belgji;
27 lipiec: Anglja cofa swe wypowiedzenie wojny;
28 lipiec: Niemcy anektują Belgię; Anglja wypowiada wojnę;
29 lipiec: Niemcy przyrzekają nie zajmować Francji; Anglja cofa swoje wypowiedzenie wojny;
30 lipiec: Niemcy zajmują Francję; Anglja wypowiada wojnę;
31 lipiec: Niemcy przyrzekają nie wkroczać do Anglii;

1 sierpień: Anglja cofa swe wypowiedzenie wojny; Niemcy wkrocza do Anglii.

Chesterton dodaje: „Jak długo będzie trwać wiara, że taką grę można prowadzić, a pokój utrzymać za coraz bardziej fantastyczną cenę?”.

Członek Gestapo prezydentem Międzynarodowej Policji Kryminalnej. We wrześniu 1923 roku powstała Komisja Międzynarodowej Policji Kryminalnej z główną siedzibą w Wiedniu. Na podstawie wcześniejszego postanowienia wiedeński prezydent policji jest aż do roku 1942 jej prezydentem z urzędu. Komisja nie spodziewała się, że pewnego dnia prezydentem policji Wiednia zostanie Gestapoman. Po „Anschlussie” dotychczasowy prezydent dr. Skubl został złożony z urzędu, a na jego miejsce przyszedł mąż Gestapo Otto Steinhäusl. Wiceprezydenci Komisji pracują obecnie pod jego kierownictwem.

Międzynarodowa Liga Kobiet dla Obrony Pokoju i Wolności zażądała od wiceprezydentów Komisji — dotychczas bez skutku — by wobec zmienionej sytuacji dokonano wyboru nowego prezydenta.

Wzorowa opieka. Nici pajęczce tajnej policji państwowej w Wiedniu oploty całe miasto „siecią 35.000 placówek nadzoru” — dumnie oznajmia Gauleiter Globocnik w wiedeńskim „Völkischer Beobachter”. Dzięki tej armii konfidentów „było możliwe całkowicie i z dużym skutkiem rozciągnąć nadzór nad 698.500 mieszkańcami. Okręgi zostaną podzielone na mniejsze podokręgi, tak, że od teraz jeden człowiek będzie mógł łatwo strzec (szpiclować) 30—40 obywateli”.

Sozial besser gestellt waren... „Völkischer Beobachter” z 23 listopada opatrzył następującym komentarzem redakcyjnym wiadomość o węgierskim kryzysie rządowym:

„Od czasu wielkiej mowy, jaką Imredy miał przed kilku dniami w klubie rządowej partji, stało się rzeczą jasną, że prezes rady ministrów bierze poważnie pod uwagę wewnętrzne reformy i chciałby zarówno usunąć przerosty parlamentaryzmu, jak też urzeczywistnić społeczne dążenia do polepszenia bytu, które stały się szczególnie palące od czasu powrotu Górnych Węgier, lepiej mających się pod czeskim panowaniem”.

Naczelny organ partji hitlerowskiej przyznaje, że chłopci i robotnicy nadgranicznych obszarów węgierskich, które doniedawna należały do Czechosłowacji, pod czeskim panowaniem byli wyżej postawieni pod względem społecznym, aniżeli robotnicy węgierskich magnatów.

Cóż więc zostaje z twierdzeń o ucisku mniejszości narodowych, także i węgierskiej, przez Czechosłowację? Były one naj-



Elżbieta Szemplińska - Sobolewska

„Kochankach z Warszawy” mamy już do czynienia z gładką, pozbawioną zadziorności i zygzaków linią narracji, której zakończenie jest prawie tylko urwaniem.

Trzeba więc mówić o postaciach. Żywiołowy talent Szemplińskiej miał tu największą do powiedzenia. Udała się jej przedewszystkiem rzecz bodaj najtrudniejsza: bohaterka. Mimo licznych poprzedniczek „genre”-owych, Darja wraża się w pamięć, pozostaje nazawsze przy czytelniku ze swoją niezaradnością i żywiołowością, niekonsekwencją i bezpośredniością, z tysiącem cech, składających się razem na typ tak kobiecy, a tak przez kobiety znienawidzony. Należy tu podkreślić dwa sukcesy pisarskie Szemplińskiej: po pierwsze — wierne, życiowe oblicze bohaterki: Darja nie jest ani „wymarżona” (typowy stosunek do postaci czołowych u początkujących autorów, zwłaszcza zaś autorek), ani „wydekokowana”, jak to bywa u wyłażących ze skóry „eksperymentalistów”. Jest ona człowiekiem z krwi i kości; wrażenie to jakże wydatnie wzmacnia normalną recepcję powieści, jakże silnie działa na ten zmysł ludzki, który nie tylko wyhodował w społeczeństwie przykry wrzód plotkomanji, ale i powołał do życia epos i prozę opowiadającą. Po drugie — przyjemna jest także u Szemplińskiej równowaga między zamierzonym charakterem postaci a charakterem faktycznym. Niema u niej charakterystyki bezpośredniej, ani, co gorsza, rozpiętości między celem a osiągnięciem: ten kto ma budzić sympatię jest istotnie sympatyczny, kto ma działać odpychająco — jest odpychający i t. d. Nie jest to sprawa tak prosta. Nawet tak dobry pisarz, jak Peiper, nie podołał tej sztuce, jego Ewski („Ma lat 22”) tem bardziej stawał się nieprzyjemny im bardziej się wysilał autor nad „usympatycznieniem” go.

Bardzo dobrze skrojona jest także Matylda. Kontrastowość jej w stosunku do Darji oparta została na cechach nieprostych i niełatwych do przedstawienia. Bezpośredniość Darji, jej rozmach, fantazję, niecierpliwość się z t. zw. wymogami życiowymi — i kalkulację, przeciętność i prozaiczność Matyldy odtworzyła Szemplińska po mistrzowsku.

Trzecia doskonała kreacja — to Ludwik, kochanek, a potem mąż Darji, swoisty typ drobnomieszczańskiego fantasty i blagiera, z kategorii tych, co to sprzedają kolumnę Zygmunta, jak się o nim wyraża autorka. Z epizodycznej roli w „Potrójnym śladzie” awansuje do jednej z ról tytułowych w „Kochankach z Warszawy”, awans ten, rzecz znamienita, nie pozostaje bez wpływu na niego, traci on wiele z tak ostro zrazu zarysowanych cech ujemnych,



Ziemia

rys. B. W. Linke

ważniejszym argumentem antybenesowskiej propagandy, ich wymową domagał się „führer“ „zwycięstwa sprawiedliwości“ w Monachjum, a dziś „Völkischer Beobachter“, główny organ tamtej propagandy, wyznaje, że ludziom było lepiej pod uciskiem czeskim, aniżeli w „swobodzie“ węgierskiej.

Dobrodziejstwo kolonij. Podsekretarz stanu w włoskim ministerstwie dla spraw Afryki, gen. Teruzzi, ogłosił w oficjalnym organie tego ministerstwa dane, według których sytuacja gospodarcza Abisynji przechodzi ciężki kryzys, przede wszystkim wskutek niewytlumaczonych zjawisk inflacyjnych; tak więc kurs starej abisynskiej monety talara Teresy, który początkowo chciano całkiem usunąć z obiegu, podniósł się z 5 na 13,50 lirów. Ceny przywozu od 1937 do 1938 roku podniosły się przy mące o 126 procent, pieczywie o 49 procent, cukrze o 43 procent i t. d. Chociaż płace robotnicze są tu czeskokroć wyższe, niż w samych Włoszech, doszło do prawdziwie zbiorowej ucieczki z Abisynji: liczba europejskich robotników spadła z 115.000 w marcu 1937 na 21.000 w lipcu 1938. Wskutek tego praca kolonizatorska stała się niemożliwa i sześciolletni plan (wydobycie skarbow kopalnych, uprawa bawełny aż do budowy dróg) pozostał do dziś dnia na papierze. Ale także handel macierzy z nową kolonią

przechodzi ciężki kryzys. Zarówno spadł gwałtownie eksport Włoch (przy tkaninach bawełnianych z 76.000 na 44.000 cetnarów, przy statkach z 7879 na 486 sztuk w pierwszych siedmiu miesiącach 1938 w porównaniu z tym samym okresem 1937), jak też import Abisynji do Włoch i musiał spowodować nadmiaru rynkowego zostać ograniczony — np. przy skórach do 20 procent, przy kawie do 30 procent ogólnego wywozu.

Swobodny, wolny i beztroski. Berlińska willa ministra sprawiedliwości Rzeszy Franka (w innych miastach ma ich jeszcze kilka), posiada 26 pokoi. Czeka ją przed nią codziennie trzy luksusowe samochody. Jednym jedzie pan minister do biura, drugim pani ministrowa do fryzjera, trzecim córka do szkoły. W willi jest wbudowany duży, nowoczesny dalekowiedz, jaki w Niemczech posiadają tylko nieliczni urzędnicy pocztowi. Skoro jeden z gości zapytał dzieci ministra o jego cenę, te wykrzyknęły: „Nie, on nic nie kosztuje! Podarował nam go wuj Ohnesorge!“ (krótkie przezwisko nowego ministra poczty).

Jedzenie w pańskiej willi Franka jest przyrządzane w trzech kategoriach: pierwsza — dla rodziny, druga — dla dalszych członków rodziny i znajomych, trzecia — dla niższej służby. Frank był zawsze najgłośniejszym przeciwnikiem korupcji.

K O R E S P O N D E N C J A

O „RODZEŃSTWIE THIERRY“

Do redaktora „Sygnałów“

Upieram się o udzielenie mi miejsca, bym mógł zaprotestować przeciwko przeinaczeniu treści „Rodzeństwo Thierry“ Roger Martin du Garda w recenzji, która ukazała się w „Wiadomościach Literackich“. Ponieważ redaktor naczelny oświadczył, że jakkolwiek sztuki nie zna, ale z recenzją swojego współpracownika p. A. Slonimskiego solidaryzuje się, przeto nie mogę zabrać głosu na łamach tego kulturalnego organu, który w tak niekulturalnej formie zożydził pisarza Francji i laureata nagrody literackiej Nobla.

Powołuję się na szereg świetnych nazwisk, jak P. Apenszlakowa, dr. T. Żeleński-Boya, W. Brumera, T. Kończycyca, J. N. Millera, W. Natanson, St. Podhorska-Okołó, L. Roquigniego, K. Wierzyńskiego, którzy w swych sprawozdaniach stawiają sztukę „Rodzeństwo Thierry“ na bardzo wysokim poziomie artystycznym, przyznając jej wysoką klasę wartości intelektualnych, niezmiernie wnikliwe ujęcie tematu i zadziwiająco delikatność w obnażaniu stanów duchowych i uczuciowych działających postaci.

Jak załatwił się z dziełem Roger Martin du Gard krytyk „Wiadomości Literackich“, p. A. Slonimski? Wykoszławił intencje autora, zmienił dowolnie treść i istotę sztuki, zożydził „Rodzeństwo Thierry“ i tylko dla osiągnięcia wątpliwej wartości swoistych doęcipuszków porobił zwyrodniałych ze wszystkich postaci działających w sztuce.

„Rodzeństwo Thierry“, jak każde dzieło sztuki niepowodzenie, niebanalne i nieszablonowe, musiało wywołać i wywołało dyskusję tak zasadniczo odmiennie w ocenie, wrogię lub entuzjastycznie ustosunkowanie do autora, że właśnie ta zróżnicowana postawa publiczności świadczy o nieprzeciętnej wartości sztuki.

Uznając bardzo surowo oceny sztuki, jakie wyszły spod piór Z. Bronca, St. Piaseckiego i St. Pion-Nowszewskiego; sąd tych krytyków potępia zgodnie tematykę omawianej sztuki i kierownictwo teatru za wybór dzieła. Jakkolwiek mam odmienny pogląd na tę sprawę, szanuję ich opinie, gdyż żaden z wymienionych krytyków nie dopuścił się przekształcenia, przeinaczenia treści sztuki oraz fałszywego informowania publiczności o postaciach, a tem samem inspirowania błędnego sądu o sztuce i w rezultacie szkolenia teatrowi.

P. A. Slonimski zdobył już sobie iście herostratową sławę nie tylko w pastwieniu się nad młodymi autorami polskimi, ale sięga brutalnie i po koronę wielkości uznanych przez elitę całego cywilizowanego świata.

Wszystkim niemal teatrom, pracującym w dość ciężkich warunkach, należałoby się raczej pewna życzliwa opieka i rozumna, a przyjazna ocena ich pracy, tymczasem właśnie p. A. Slonimski wyspecjalizował się w chwytach, z którymi w innej dziedzinie pracy można się jeszcze z konieczności pogodzić, tu natomiast złośliwości w celu wątpliwego ubawienia swoich czytelników i sadystycznej rozkoszy w dławieniu bezbronnej narazie ofiary woleją niesmak.

Karol Adwentowicz (Warszawa)

W PIERWSZĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI ANDRZEJA STRUGA

Do redaktora „Sygnałów“

Dnia 9 grudnia upływa rok od chwili, kiedy Andrzej Strug, wielki pisarz Polski walczącej i pracującej, zamknął oczy na zawsze. Trwałymi pomnikami, jaki Strug

wzniósł sobie własnym wysiłkiem twórczym, jest jego wielki dorobek piśmienniczy, pozostawiony w puściźnie żyjącemu i przyszłym pokoleniom.

Pisma Andrzeja Struga powinny stać się duchowym chlebem powszednim jak najszerszych rzesz polskiego ludu pracującego. Będą z nich czerpać naukę, jak żyli, walczyli i umierali owi bezimienni bohaterowie podziemi, którzy, spełniając obowiązek twardej służby, burzyli mur niewoli i budowali zręby niepodległej, wolnej Polski. Ów epos nieznanego żołnierza rewolucji i niepodległości powinien trafić do izby robotnika polskiego, pod strzechy chłop polskiego.

Tam też winna dotrzeć wieść o życiu twórcy owego eposu: dzieje pięknego żywota Andrzeja Struga, niezłomnego człowieka i wzorowego obywatela, niech się staną przykładem do naśladowania dla mas ludu polskiego.

Wydanie wyboru pism wielkiego pisarza, poprzedzonego jego życiorysem oraz rozbiorem twórczości artystycznej, będzie najlepszym, gdyż wypływającym z istoty pracy życiowej Struga, uczczeniem jego pamięci.

Toteż utworzony w tym celu komitet postawił sobie za pierwsze zadanie spopularyzowanie dzieła pisarza przez wydanie wyboru jego pism wraz z życiorysem, obejmującym zarówno działalność i pracę twórczą w zakresie sztuki, jak i na polu społecznym oraz politycznym. Nie wyczerpuje to zamiarów komitetu, który wyda w następstwie plaketę z podobizną zmarłego oraz utworzy fundusz stypendyjny jego imienia dla literatów polskich.

Nie wątpiąc, że w drodze ofiarności publicznej najszerszych kół, czczących szlachetną pamięć Andrzeja Struga, uzyska się niezbędne na takie wydawnictwo fundusze, komitet przystępuje z ufnością do podjęcia tej pracy.

Ofiary należy przekazywać na konto nr. 27.185 w P. K. O. Komitetu Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga.

Za Komitet Uczczenia Pamięci Andrzeja Struga Wydział Wykonawczy, Warszawa, Sienna 32, m. 12:

Stanisław Thugutt,
gen. Marjusz Zaruski

A. Kliński. Z artykułu „Który raz“ nie skorzystamy.

I. S. Wilno. Z wierszy nie skorzystamy.
M. K. Warszawa. Z artykułu „Marat o wolności prasy“ nie skorzystamy. Za życzenia serdecznie dziękujemy i zasyłamy pozdrowienia.

M. J. Lwów. List jest niesłuszny i dlatego nie możemy go umieścić.

Ign. F. Warszawa. Wiersz niecenzuralny. Na pytanie, czy warto pisać, trudno nam odpowiedzieć. Zasyłamy pozdrowienia.

St. G. Przasnysz. Prosimy o większy wybór.

J. K. Jasło. Artykuł „Imponderabilia faszystwu“ umieścimy w najbliższym numerze. Za miłe słowa serdecznie dziękujemy. Na odpowiedź listowną prosimy załączyć znaczek.

L. M. Komarno. Odpowiemy listownie.
„Zwolennik“. Kraków. Z artykułu nie skorzystamy.

A. K. Białystok. Wiersz jeszcze nie do druku.

A. P. Łódź. „Groteski“ i „Chaosu“ nie będziemy drukowali.

R. Al. Warszawa. Na temat faszystwu mamy dość dużo materiału, zatem z artykułu nadesłanego nie możemy skorzystać. Za miłe słowa i życzenia serdecznie dziękujemy. Prosimy o dalszą pamięć.

Teatry warszawskie

Teatr Kameralny: „Rodzeństwo Thierry“
Roger Martin du Gard

Teatry warszawskie, jak tramwaje, obdarzone są dziwnym instynktem stadowym: mijają nieraz tygodnie bez premiery, lecz gdy się zaczynają, sygnają się jak z rogu obfitości. System to szczególnie dotkliwy dla pism perjodycznych: oto dziś np. mam możność omówienia jednej tylko sztuki, mającej już zresztą za sobą ze 20 przedstawień, w następnej zato recenzji będzie embarras de richesse.

Dobrze się jednak stało; bo sztuce du Garda warto poświęcić parę słów.

Podstarzały już nieco pan Thierry, samotnik życiowy i „człowiek zasad“ przyjmuje do swego biura młodego, pięknego i zdobywcę sekretarza. Młodzieniec ów w krótkim czasie podbija serce nie tylko siostry pana Thierry, lecz i jego samego. Ale p. Thierry niczego nie dostrzega; panna Izabela zaś, dźwigająca ciężkie brzemię zbrodni (w dzieciństwie, z zazdrości o miłość nauczycielki, pchnęła nożem swą koleżankę), sama pozbawia się prawa do szczęścia. Ta koleżanka zresztą sama zakochana jest w Izabeli; cała ta czwórka, z dodatkiem jeszcze kuzyna, który również kochałby się w Izabeli, gdyby był zdolny do miłości, — miota się w kregu własnych udręczeń. Młody zdobywca przerywa ten czar: wydziera Izabeli jej tajemnicę, udrzwia ją swoją miłością, ale ten moment właśnie, to katastrofa pana Thierry: teraz dopiero, gdy Joe odejdzie, zrozumie swe podświadome popędy, i widząc jak wali się cały gmach jego „zasad“ — strzeli sobie w łeb.

Jak widać, sztuka dość obficie czerpie z zagadnień, rzadko pojawiających się na scenie. Chyba nie tylko dlatego, że mogłyby budzić zgorznienie jako „przeciwne naturze“ (tej urzędowej). Koniecznym warunkiem dramatycznej emocji jest, by widz w pewien sposób współczuł cierpieniom bohatera; otóż dla takich konfliktów obudzić to współczucie nie jest łatwo. Jeśli widywalismy niedawno sztuki potrącające o pokrewne tematy, ustawiały się one raczej w płaszczyźnie społecznej lub wychowawczej; żądały więc nie współczucia dla samego konfliktu, lecz dla przeżycia, wynikłego z niezrozumienia tego konfliktu przez otoczenie. Martin du Gard stawia swój konflikt w płaszczyźnie psychologiczno-indywidualnej: wynika on z samej miłości, a nie z tego, że jest ona potępiona przez świat. Zadanie tem trudniejsze, że wchodzi tu w grę właśnie zdradne popędy mężczyzny i że ścieżka między trywialnością i śmiesznością jest tu szczególnie wąska. Wystarczy uprzytomnić sobie, co z takiej sztuki mógłby zrobić ekspresjonizm niemiecki, by przyznać, że autor „Rodzeństwa Thierry“ dokazał nielada sztuki.

Niestety, na tem wyczerpują się dodatnie pozycje jego dramatu. Cały ten eksperyment udał się du Gardowi dlatego, iż ukazał tylko same narodziny problemu; moment uświadomienia jest już zarazem katastrofą i finałem. Ten chwyt wszakże mści się na konstrukcji sztuki: ekspozycja jej trwa zbyt długo, dopiero koniec II aktu przynosi jej całkowite uzupełnienie, trzeci zaś jest już niemal wyłącznie katastrofą.

Jest w tej sztuce inny brak jeszcze poważniejszy. Wydaje się, jakgdyby du Gard odkrył w niej dopiero psychoanalizę i poczynił z nią sobie jak młody adept-entuzjasta. Wszystko tu dzieje się niemal podręcznikowo, cały mechanizm freudowski aż do ujawniania kompleksów działa bez zarzutu, brak tylko wykładni snów. Ale jest rzeczą zabawną, że cały ten aparat wyraźnie przeszkadza funkcjonowaniu normalnego aparatu reakcyj ludzkich; i w rezultacie sztuka jest w większej zgodzie z podręcznikiem, niż z psychologią. Toteż gdy p. Thierry dowiaduje się na pięć minut przed śmiercią o tem, co powinien był w sobie widzieć już od lat trzydziestu, — mimo wszystko nie budzi tego współczucia, jakie budzić powinien. Takich samych, choć drobniejszych nieprawdopodobieństw jest w sztuce więcej, a zapewne nie byłyby one do sztuki wtargnęły, gdyby nie konieczność nagięcia jej do freudowskiego łożyska.

Teatr Kameralny specjalizuje się niejako w dramacie psychologicznym, a niewątpliwie dzięki szczególnej predestynacji Adwentowicza do tego typu ról. Krecja jego w „Rodzeństwie Thierry“ całkowicie usprawiedliwia te upodobania; trudno jednak nie dostrzec, iż dla większości jego zespołu trudności wygrywania takich gam psychologicznych są niekiedy ponad siły.

Przekład nie wolny od usterek i czasami dość trudny do scenicznego podania.

Jerzy Pański

„Sygnały“ rozszerzają znacznie działalność i sprawozdawczy.

Prosimy wydawców i autorów o nadsyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach oraz o podawanie nam ich cen księgarskich.

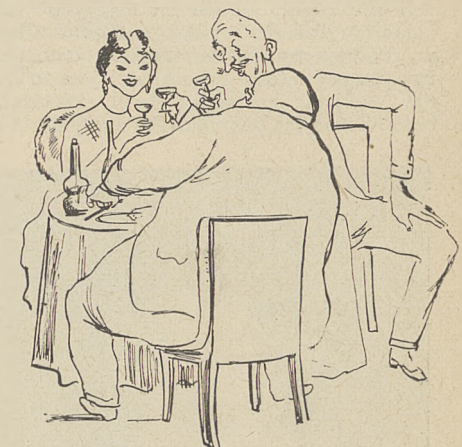
Recenzje będziemy zamieszczali jedynie z wydawnictw, nadesłanych pod adresem redakcji „Sygnałów“.



rys. Z. Wasilewski
Przed lustrem

Z encyklopedji Marsjan: Człowiek (homo sapiens)

rys. Fr. Parecki



Stworzony na obraz i podobieństwo...



jest królem wszystkich stworzeń na ziemi, a liczne wynalazki ułatwiają mu eksploatację bogactw naturalnych...



podporządkował sobie nawet żywy...



w szczęściu i pokoju spożywa owoce swej pracy...

